Nr 42 (1552). Warszawa, 15 października 1910 r. **Rok XXX**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Cień Jasnej Góry.

Kłębek najrozmaitszych zbrodni, który przez wiele lat zwijał się tajemnie w klasztorze częstochowskim i nagle rozwinął się przed oczyma społeczeństwa, wywołał w znacznej jego większości nietylko wielkie przerażenie, ale może jeszcze większe zdumienie. Ludzie bowiem wierzący w najwyższą świętość tego miejsca, w moc i urok cudotwórczego obrazu, wyłączającego nawet możliwość poczęcia się złej przeciw niemu myśli i woli, w niepokalaną zacność jego stróżów, którzy, niby bezcielesne duchy, otaczają białymi skrzydłami przenajświętszą arkę „Matki Boga" i „Królowej Narodu", ludzie ci usłyszeli pewnego dnia ze wszystkich pism, że to miejsce było kryjówką wszelkich zdrożności i występków, że ta Matka Boga nie mogła się obronić łupieztwu i zniewagom, że ci stróże kradli z jej szat klejnoty, przywłaszczali sobie ofiary ludu, nurzali się w rozpuście, popełniali fałszerstwa, wreszcie okrwawiali swe ręce morderstwami. Było to odkrycie, wobec którego proste i naiwne dusze skamieniały. I gdyby prasa nie była zwierciadłem życia, gdyby sam instynkt samozachowawczy społeczeństwa nie zmuszał jej do ciągłego odsłaniania nawet najokropniejszej prawdy, zainteresowani w utajeniu tych zdrożności mogliby łatwo zaprzeczyć ich odgłosom i pozyskaliby wiarę. Jest to wszakże już dziś niemożliwe i ohyda musiała ukazać się publicznie w całej nagości.

Ale jakkolwiek jest ona niezwykle potworną i tylko w głębokich mrokach średniowiecza możnaby znaleźć dla niej równoważne podobieństwa, stanowi wypadek naturalny, który niespodziewanie zaskakuje znachorów społecznych i kądzielnice dziennikarskie, przędzące opinję publiczną ze zgrzebnych nici klerykalno-sodalisowskiej frazeologji, ale nie zadziwia badaczów rozwoju cywilizacji. Jeśli nie w określonych proroctwach, to w ogólnych wywodach i twierdzeniach, niezależnych od tej frazeologji publicystów, tkwiła oddawna przypuszczalna możliwość takiego wypadku. Zawsze i wszędzie zakony były ciałami zgniłymi, zdolnymi do wszelkich występków. One tworzą największe plamy historji a dotąd ile razy jakiś naród drgnie mocno rzutem odrodzenia, przedewszystkim strząsa z siebie te niszczące pasorzyty, Te bowiem skupiny ciemnych, a wielkimi przywilejami i środkami obdarzonych prostaków, wypełniają sobie pustkę próżniaczego życia mechaniczną dewocją, obżarstwem, pijaństwem, napychaniem refektarza i piwnicy łupami pobożnego haraczu, zdrowych, wypoczętych i wypasionych samców, którzy nie zawsze chcą i mogą obronić się pokusom szatana, chętniej spełniających siedem grzechów głównych, niż dziesięć przykazań, — te stowarzyszenia z natury swojej muszą prędzej czy później uledz wewnętrznej zgniliznie.

Dla nas, tych, którzy ciągle karmią się czczą, bezmyślną, rycersko-klechową deklamacją, którzy ciągle widzą na wałach Częstochowy legiendowego Kordeckiego, odpierającego Szwedów, jego następcy musieli być naturalnie gronem cherubinów i serafinów, podpierających tron Matki Boskiej Byłoby najwyższym bluźnierstwem, gdyby ktoś, znający ich obyczaje, napomknął, że oni dogadzają wszelkim swoim nizkim zachciankom, że są karmnikami biednego ludu, hulają, utrzymują nałożnice na rachunek cudownego obrazu. Potrzeba było aż wielkiego wybuchu zbrodni, ażeby otworzyły się usta i uszy.

Czy żywioły postępowe, które kler stale znieważa, zniesławia, spotwarza i odsądza od wszelkiej czci, których najczystsze dążenia piętnuje i najzacniejsze prace targa, mają przejść około tego sromotnego wido-

wiska z szatami rozdartymi „bólem i krzywdą całego narodu?" Czy nie powinny wyciągnąć z niego dla społeczeństwa poważnej nauki? Nie, mamy prawo i obowiązek ją wydobyć, Więc przedewszystkim tajemnice gniazda sępów jasnogórskich stwierdziły dowodnie tę oddawna i wszędzie głoszoną, a u nas ciągle zohydzoną prawdę, że religja, chociaż posiada pewne pierwiastki etyczne, nie jest ani twórczynią, ani strażniczką moralności. Zbrodniarze habitowi, popełniając swe występki, nie przestali ani na chwilę być pobożnymi. Chociaż wierzyli szczerze, że w powierzonej im świątyni przebywa Matka Boska i posiada moc czynienia cudów, obrabowali ją z ozdób. Główny bohater złodziejsko-morderczej tragiedji, Damazy Macoch zawiesza nad łóżkami w sypialni swej utrzymanki obrazki święte, uciekając przed pogonią, chce wyręczyć spotkanego księdza w zaniesieniu sakramentu choremu, wchodząc do więzienia w Krakowie, żegna się, przyciska do piersi brewiarz i żałuje, że nie może odprawić mszy, a co najwymowniejsze — zabijając brata, dysponuje go na śmierć i dodusza. Czy w tej chwili udawał pobożność? Na co i dla kogo potrzebna mu była komedja? On wierzył, że powinien rozgrzeszyć ofiarę, której rozrąbał głowę, był religijnym w chwili mordu, jak jest bandyta, modlący się w kościele o pomyślność dla swej zamierzonej wyprawy. To należy postawić przed oczy ciemnym masom. Należy im powiedzieć: patrzcie, jacy to ludzie bywają powiernikami waszych zbolałych dusz, oświecicielami waszych sumień, przewodnikami na drogach waszego życia; przekonajcie się, jacy to ludzie odpędzają klątwami i złorzeczeniami wszystkich, którzy bez nich pragną was dźwigać z niedoli, uczyć, pocieszać i umoralniać.

Nie dość tego. Obliczono, że do Częstochowy przybywa rocznie około pół miljona pobożnego ludu i że każdy pątnik zostawia klasztorowi co najmniej rubla. Na co przez tyle lat zużyto te miljony? Na sycenie rozkiełznanych namiętności, na hulanki, uczty, zbytek nierządnic. Księża kradli wota, ofiary, opłaty mszalne, przez kościół jasnogórski przepływała szeroka rzeka pieniędzy i wpadała w otchłań rozpasania. I to również należy powiedzieć ludowi, tym niezliczonym gromadom, które nieprzerwanie w wagonach kolei, na wozach, pieszo, czasem na klęczkach, ściągają ze wszystkich punktów Polski do świętego miejsca o głodzie, żebranym chlebie, niosąc swoje cierpienia, nadzieje, gorącą wiarę i ubogie grosze. Niech ten nieszczęśliwy, ciemny, ogłupiany i wyzyskiwany lud zetrze sobie nakoniec bielmo, które mu rzucił na oczy jego niesumienny czarownik i uwodziciel.

Zrobiono w niektórych pismach analizę pękniętego wrzodu i między jego przyczynami odkryto „osłabienie religijności" Można było przypuścić, że i ta bezczelność głos zabierze. Ale wątpimy, czy ona już dziś zbłąka kogokolwiek poza tępą dewocją. Dla najskromniejszych rozumów, zdolnych wiązać zjawiska społeczne stosunkiem przyczynowym, jest jasnym, że zbrodnie jasnogórskie zrodziły się z uprzywilejowania i uzuchwalenia kleru, uwolnionego od wszelkiej krytyki i kontroli, z oddania mu nieograniczonej władzy nad społeczeństwem, z tolerancji dla najbardziej krzyczących nadużyć. Ksiądz stoi u nas poza prawami odpowiedzialności, obowiązującej innych ludzi. Suknia duchowna czyni najgorszy charakter zacnym, nietykalnym, zabezpieczonym od najsłuszniejszych zarzutów. Damazy Macoch, dopóki był pisarzem gminnym, uchodził za nicponia; ale, skoro tylko wdział habit, stał się świętym. Biskup Zdzitowiecki, odbierający dziś kondolencje, który nękał prześladowaniem biedną szkołę w Kruszynku za to że nie poddała się woli proboszcza, nie zwrócił swej prześladowczej i śledczej energji do Paulinów częstochowskich i wtedy, kiedy starał się zgasić skromne, ognisko oświaty, wszystkie zbrodnie lęgły się i dojrzewały w podległym mu klasztorze. Redakcje pism muszą się tłumaczyć z użycia każdego grosza przyjętych ofiar dobroczynnych, instytucje społeczne uzasadniają publicznie najmniejszy wydatek z powierzo-

4)

B. LEŚMIAN.

Znaczenie pośrednictwa w metafizyce życia zbiorowego.

(Dokończenie).

Pozwolimy tu sobie na mimolotne zaznaczenie z odpowiednim uśmiechem na twarzy tej okoliczności, iż go zapewne odrywa co chwila od wspomnianego rozwoju zbyt trudne i żmudne zadanie, które ma do spełnienia, a mianowicie: nieustanne usuwanie kontaktu bezpośredniego z życiem.

Bohater powstrzymanego w swym locie czasu, zarozumiały wytrwalec, który swój egoizm uświęca „większością głosów" — człowiek przeciętny, abstrakcyjny wynik działań arytmetycznych, staje się powoli typem rzeczywistym, ideałem, do którego zdąża lwia część społeczeństwa.

Korzystając z trwałego, gruntownego terytorjum *naturae naturatae*, tworzy on na nim swoje prawa, swoje obyczaje, cnoty, prawdy — słowem całą *wtórą rzeczywistość*, którą najczęściej mamy na myśli, gdy mowa o rzeczywistości, o życiu realnym, o realizmie, o rzeczowości, o trzeźwym poglądzie na życie, o rozwarciu oczu na zakulisową gorycz istnienia ziemskiego, i t. d.

Arytmetyczne pochodzenie człowieka przeciętnego ujawnia się jeszcze i w tym jego przyrodzonym nałogu, iż chadza on nie drogami ludzkimi, lecz międzyludzkimi, gdzie istnieją nie jednostki lecz ich *stosunki*, poddające się tym samym operacjom i działaniom, co liczby w przestrzeni.

Liczba i przestrzeń — oto przedewszystkim zakres jego wysiłków zaborczych...

Obok gienjalnej znajomości stosunków, nie posiada on najmniejszego wyczucia duszy ludzkiej poza tymi stosunkami.

Jednostki, dla których te ścieżki międzyludzkie, ta znajomość stosunków pozostają na zawsze obce i niedostępne, nie mogą nigdy wejść do „życia realnego", zjawić się, narodzić się powtórnie na ziemi, jako na *wtórej rzeczywistości*, zająć tam t. z. stanowisko, włączyć siebie do ogólnego łańcucha w postaci skutku lub przyczyny.

nych im funduszów, a miljony rubli w Częstochowie przesypywały się przez ręce zakonników bez żadnej kontroli i wpadały do ich kieszeni bez protestu. Powierzono obecnie zarząd klasztorem duchowieństwu świeckiemu i to „sprawiło wielką ulgę" stroskanym sercom, obiecującym „sanację niezdrowych stosunków". Nie chcemy podejrzywać czystości tych nowych rąk, ale przewidujemy, że jeśli złoty potok nie będzie gasił pragnienia Macochów, to niewątpliwie puszczony będzie jako siła obrotowa na koła tych młynów, które mielą dla ludu trującą mąkę fanatyzmu. Możemy się spodziewać wielu nowych instytucji, przeciwdziałających „postępowi", który nie kradnie, nie morduje, nie dokonywa oszustw i dlatego właśnie jest bardzo szkodliwy „dla kościoła i narodu".

Z zupełnym zapomnieniem i lekceważeniem wielkich duchów i wielkich czynów narodu, którym on zawdzięcza swą moc życiową, nazwano Częstochowę jego „sercem" i „najświętszym skarbcem". Było to zawsze bezmyślnością, a dziś jest wstrętnym bluźnierstwem. Bo czyż „serce narodu" może być norą takich gadów? Nie przeczymy, że Jasna Góra była urną, w którą lud nasz przez wieki zlewał swe czyste łzy i dlatego szacowną; ale czyż mamy ją dalej czcić, gdy się okazało. że ta urna jest brudnym naczyniem, a te łzy służą do obmywania brudnych rąk? Ma tam być źródło cudotwórczej siły. Niestety, odkąd ta mara pierzchła w całym świecie przed światłem wiedzy, trudno już dziś rozumnym ludziom wmówić, że się ukryła w zakątku naszej ziemi.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

We środę rano upadła dynastja Bragancka w Portugalji; na jej gruzach proklamowano republikę którą pośpieszyły uznać natychmiast trzy najbardziej zainteresowane państwa: Hiszpanja, Francja i Anglia.

Stanowisko tej ostatniej jest w danym wypadku decydujące, ponieważ W. Brytanja, mocą zadawnionego przymierza, rozciąga nad Portugalją rodzaj protektoratu. Nie są też pozbawione podstawy pogłoski, że *Foreign Office* nad Tamizą wiedziało oddawna o niechybnym przesileniu i przyrzekło nawet wodzom republikańskim przychylną neutralność, o ile życie króla Manuela będzie uszanowane. Tak też się stało; dziś jest zdetronizowany młody monarcha pod opieką angielską w Gibraltarze, skąd zapewne uda się do Paryża, by wzorem tylu innych „królów na wygnaniu" pędzić żywot wesoły między Montmartrem, a lasem bulońskim.

Tymczasem republika portugalska, na czele której staje człowiek uczony i dzielny, Teofil Braga, musi uporać się z niesłychanym nieładem, zapuszczeniem, ciemnotą i nędzą, z całą puścizną kilkowiekowych haniebnych rządów kamarylli dworskiej oraz reakcji klerykalnej, które z kwitnącego niegdyś kraju uczyniły straszliwe pustkowie. Oddzielenie kościoła od Państwa, zniesienie klasztorów, unormowanie finansów, regulacja opłakanych długów (wynoszących 200 rs. na głowę) — oto ciężkie zadanie, którego imać się musi odrazu młody rząd republikański.

Cały przewrót, dokonany przez grono inteligiencji przy pomocy armji i floty, nosi wyraźne cechy *rewolucji burżuazyjnej*; jakoż element miejski, wolnomyślny i demokratyczny, odniósł świetne zwycięztwo nad biurokracją i klerem, opartym na masie ciemnego chłopstwa.

Zauważyć się godzi, że Portugalja posiada świetną i prastarą tradycję wolnościową, która sięga połowy XVII wieku. Kwitnąca naówczas Portugalja zdobyła się, w roku 1640 na proklamowanie zasad zwierzchnictwa ludowego, w czem ubiegła nietylko Stany Zjednoczone, ale nawet Anglję. Coprawda, ów zaszczytny akt wyzwoleńczy z r. 1640-go, wspominany przez patrjotów portugalskich równie gorąco, jak my wspominamy Konstytucję 3-go Maja — nigdy nie był w życie wprowadzony: reakcja klerykalna i dworska umiała zdusić w zarodku ów świetny zaczyn demokratyczny, który niebawem popadł w niepamięć w zgiełku niezliczonych *pronunciamientos* i buntów wojskowych, które nieraz zalewały krwią ulice Lizbony; mnogie i przeważnie niefortunne wojny, ciągłe zamachy stanu i zamieszki dynastyczne musiały wpłynąć fatalnie na rozwój kraju; jakoż pośród zajadłych koterji i stronnictw, wybujał cynizm niesłychany, ustalił się zwyczaj traktowania spraw publicznych, jako sposobu łatwego dorobku i przyjemnego życia. Sprzedajność i parazytyzm

---

A wszakże tylko pod tą postacią mogłyby zyskać powagę społeczną i szacunek powszechny! Twarz ich zatraciłaby wówczas wyraz własny, a nabrałaby owego wyrazu, który nadają *wartości*, stworzone przez człowieka przeciętnego. Ten ostatni wie doskonale, jakim wyrazem twarzy powinien się wyróżniać śród luźnie i samopas istniejących jednostek — przyczynowo określony i ustosunkowany w życiu międzyludzkim — bankier, adwokat, prezes jakiegoś towarzystwa, stróż nocny, redaktor poczytnego dziennika.

Zmiana i niedokładność tego wyrazu twarzy budzi uzasadnione podejrzenia w człowieku przeciętnym.

Odmawia on takim okazom swego poparcia i swojej protekcji.

Powaga rozmaitych znaków zaszczytnych i stanowisk społecznych, która jest właściwie — bierną gotowością martwych materjałów do udzielenia siebie zębatym trybom jakiej skomplikowanej maszyny, — stanowi jednocześnie jeden z najważniejszych i najtrwalszych fundamentów życia zbiorowego.

Dzięki powadze tych znaków, napozór tylko urojonych, jednostka, pozbawiona godności i wartości osobistej, nabiera nagle godności i wartości społecznej i, redukując swą czynność duchową i fizyczną do ścisłego zakresu danego stanowiska, może stać się pożyteczną dla ogółu i godną poważania tak wcudzych, jak i we własnych oczach.

Jednostka zaś, posiadająca jakieś twórcze „widzi mi się" — może zeń zawsze zrobić ustępstwo lub raczej ofiarę na rzecz t. z. ogółu w głębokim przeświadczeniu, iż, pozbywszy się kontaktu bezpośredniego z życiem i pozyskawszy nowy kształt na tle *wtórej rzeczywistości*, zostanie za to sowicie wynagrodzona pod względem „karjery społecznej".

Powaga znaków i stanowisk jest między innymi zbawczym warunkiem bezpieczeństwa publicznego.

Zbrodniarz nieustraszenie napada na silniejszego odeń i lepiej uzbrojonego przechodnia. Natomiast cofa się lękliwie na widok słabszego fizycznie i nawet gorzej uzbrojonego urzędnika policyjnego. Nie obawa kary powstrzymuje go od zbrodni. Tak w jednym, jak w drugim wypadku obawa kary w jednakim stopniu mogłaby pohamować jego zbrodnicze chęci.

Na widok wszakże dowolnego pozornie znaku, mianowicie munduru — myśl zbrodniarza z osobistego, izolowanego świata przenosi się do świata międzyludzkiego, do świata znaków i stanowisk i, sylogizmując się z danymi tego świata, zmienia swój poprzedni kierunek lub wogóle — sparaliżowana nagłą zmianą kierunku — przestaje istnieć.

Obdarzenie takim znakiem społecznym niewy-

stały się na długie lata plagą Portugalji pod osłoną *pseudo konstytucji* z r. 1826-go, która pozostała konstytucją na papierze aż do 6 października 1910 roku.

Znając okropną przeszłość Portugalji, trudno nie mieć obaw co do trwałości nowego ustroju. Bywają niekiedy ugory tak doszczętnie wyjałowione i zdziczałe, że najlepszy nawet posiew przepada w nich bez śladu. Takim ugorem okazać się może Portugalja, gdzie pod brzemieniem gwałtów, zdzierstw, oszustw i ucisku, obyczaje i urządzenia konstytucyjne zwyrodniały doszczętnie, zaś szerokie masy ludności — z wyjątkiem 2 miast; Lizbony i Porto — pogrążone w ciemnocie, apatji i fanatyzmie, z ponurą rezygnacją patrzymy na rabunkową gospodarkę dworaków i kleru.

Ale być może również, że idea demokratyczna, krzewiona w związkach i klubach republikańskich, wsparta nie na *ilości*, lecz na *jakości* przodujących w narodzie elementów, dzięki mistrzowskiej taktyce swych wodzów, oraz poparciu ze strony sfer postępowych francuskich, angielskich i hiszpańskich — przemoże zwartość czynników ujemnych i pchnie ojczyznę Vasco de Gamy na drogę świetnego rozwoju. Atoli pierwszym jego etapem będzie niechybnie zacięta walka z Watykanem, który bez oporu nie wypuści z ręki steru wszechwładnych do niedawna wpływów w kraju, gdzie nuncjusz papieski i jenerał jezuitów więcej niekiedy znaczyli, niż król i parlament.

Z badań nad niedolą kobiecą.

Jednym z najstraszniejszych skutków upośledzenia praw kobiety w społeczeństwie współczesnym jest kwestja dzieci nieprawych. Nieodłącznym jej towarzyszem jest widmo dzieciobójstwa, które uparcie wije się krwawą nicią poprzez historje niedoli i męki kobiety, rzucając na jej barki jedynie całą hańbę zbrodni i wyłączną za nią odpowiedzialność. Prawo nie ściga nigdy mężczyzny, jako współwinnego morderstwa, nawet jako moralnego uczestnika karygodnego czynu. Już od najdawniejszych czasów kobieta bywa wyłączną ofiarą nieczułych prawodawstw, których twórcami byli i są mężczyźni.

Do końca ośmnastego wieku przytłaczała matkę nieślubnego dziecka potworna jurysprudencja Średniowiecza, która nietylko stawiała kobietę pod pręgierz najsromotniejszej pogardy, ale jeszcze za urodzenie dziecka nieprawego, jako „wszetecznicę" pociągała do odpowiedzialności karnej. Wytrącona poza obręb społeczeństwa, ratowała się czasem kobieta przed hańbą i przed skazaniem na zagładę rozpaczliwym aktem dzieciobójstwa. Lecz czujna dłoń bezwzględnej i twardej sprawiedliwości torturami i męką karała zbrodniarki, które sama urabiała swymi ślepymi i głupimi regułami prawnymi. Najpospolitszymi z wyroków ówczesnych były szubienice, ukamienowanie, lub zakopanie żywcem pod wtór księżych modlitw.

Znakomity wychowawca i pedagog-Pestalozzi, po zbadaniu całego szeregu aktów sądowych, nabrał przekonania, że nadzwyczaj często dzieciobójstwo bywa popełniane przez matkę bezpośrednio po urodzeniu nieprawego dziecka, wprost mechanicznie, w jakimś wrodzonym chorobliwym lęku i wstydzie, graniczącym z pewnym defektem zmysłowym.

Dziś, coprawda, kary za dzieciobójstwo, w porównaniu z dawnymi, są względnie wyrozumiałe. W pewnych kodeksach karnych pozbawienie życia dziecka przez matkę, przy niektórych okolicznościach, bywa uważane nie za morderstwo, jeno za zabójstwo. Prawo francuskie stawia zbrodnię dzieciobójstwa na równi z zbrodnią zabójstwa noworodka, popełnioną przez jakąkolwiek osobę trzecią. W projekcie prawa karnego szwajcarskiego dzieciobójstwo uważane jest za zabójstwo z premedytacją, powziętą jednak pod przymusem psychicznym, t. j. pod wpływem aktu rodzenia, i karane jest od 6 miesięcy więzienia do 5 lat domu poprawy.

Obecnie jeszcze śród znanych kryminologów toczy się spór o możliwość zastosowywania, jako okoliczności łagodzących, wyżej wskazanych czynników psychologicznych. Pewien odłam powag prawniczych odrzuca kategorycznie, jako motyw dzieciobójstwa, psychiczny stan matki-przestępczyni, uznając natomiast, że dominującą rolę odgrywa w zbrodni tej nizki poziom moralny i paniczny strach przed hańbiącymi następstwami nieślubnego urodzenia dziecka.

Nawiązując do tej kwestji spornej, ale wychodząc jednocześnie daleko poza ciasne ramy rozstrząsań teoretycznych, bada Małgorzata Meyer na podstawie źródeł zuryskiego instytutu medycyny sądowej, psychologję dzieciobójstwa. Wyniki swych badań ogłosiła autorka w większej pracy, umieszczonej w czasopiśmie „Archiv für Kriminal-Anthropologie" (1910, zeszyt 3/4). Wyżej wskazane zagadnienie, na podstawie osobistych obserwacji i bardzo bogatego materjału faktycznego,

---

krytego zbrodniarza — może zeń uczynić — szczerego obrońcę porządku publicznego.

W zakresie „wtórej rzeczywistości" wartość osobista jednostki ma znaczenie drugo — albo i trzeciorzędne.

Bardzo czynnym i pożytecznym prezesem towarzystwa filantropijnego może być człowiek bez serca, a nawet wyrafinowany okrutnik.

Znajomość stosunków — wystarcza. Wyczucie duszy ludzkiej — bywa nawet przeszkodą i zawadą. Właściwie działa tu zawsze *człowiek przeciętny*, którego pośrednictwo wyrzuca za nawias niedostatki i niedobory indywidualne osobnika przygodnego.

Najruchliwszym jednak i najsamorzutniejszym pośrednikiem jest — *pieniądz*.

Przewyższa on *człowieka przeciętnego* ogólnikowością i łatwością wszelkich działań liczbowych, wyzwolonych całkowicie z przypadkowego i nieprzewidzianego wpływu różnic indywidualnych. Jest on najidealniejszym przedstawicielem *liczby* w przeciwieństwie do jednostki.

Wartość osobista tej ostatniej jest dla niego absolutnie obojętną. Pojmowanie jednostki, jako zera społecznego, zgadza się najzupełniej z psychologją kapitału.

Oderwany od swego źródła konkretnego, a mianowicie od pracy twórczej, pieniądz staje się wartością samodzielną, dąży do wyłączności i zachowania swego *gatunku*, pieniądz rodzi pieniądz...

Niechętnie powraca do źródeł, którym zawdzięcza swoje istnienie. Rzadko możemy natrafić na taki okres historyczny, kiedy kapitał popiera czy to pracę fizyczną, czy też twórczość duchową, jak sztuka, literatura, filozofja, nauka.

Popieranie pracy, powrót do konkretów, od których się oderwał, jest dla niego tym samym, co zatracenie zdobytej drogą abstrakcji samodzielności.

Dlatego też pozwala on tym, którzy go posiadają, — nie pracować, istnieć bez pracy, nie stykać się z życiem bezpośrednio, lecz za jego pośrednictwem.

Wytwarza on całe gromady ludzi, którzy przez ciąg trwania swego na ziemi ubiegają się o *środki do życia*, nie zaś o życie samo, o wtargnięcie do jego głębin tajemniczych, o nasycenie duszy jego ogniem podziemnym...

Te *środki do życia* splatają się w cały zawiły system, w nierozwikłany labirynt bez wyjścia, w którym co raz trudniej odnaleźć nić Aryadny, prowadzącą do słońca żywego.

Nieuniknione pośrednictwo pieniędzy tworzy po-

wyświetla autorka w ten sposób, że chociaż przez sam akt rodzenia odpowiedzialność umysłowa kobiety się nie zmniejsza, znajduje się jednak rodząca „w tak niezwykłym i nowym położeniu i pod tak silnym działaniem nawału nieznanych i oszałamiających przeżyć, że stan jej w żadnym razie nie może być uważany za normalny". W rzeczywistości jednak inne motywy odgrywają o wiele ważniejszą rolę w tym przestępstwie.

W wypadkach, zbadanych przez p. Meyer, po większej części pobudki zabójstw są następujące:

1) porzucenie matki przez ojca noworodka — 8

2) opuszczenie i brak podpory śród otaczających — 11

3 nizki poziom moralności — 6

4 nędza materjalna — 8

5 nienawiść do dziecka i ojca jego — 3

6 nienawiść do dziecka — 1

Wspólną cechą wszystkich zaobserwowanych wypadków jest, że a) główna odpowiedzialność leży poza osobą przestępczyni, b) dzieciobójczynie są przygodnymi morderczyniami i c) warunki zewnętrzne przeciwdziałają rozwojowi uczuć macierzyńskich.

Dla wyjaśnienia autorka dodaje: „w przestępstwach kobiety, a głównie w jej zbrodniach o pokładzie seksualnym, jak dzieciobójstwo i t. d., ściganie mężczyzny, który zawsze prawie jest winnym powstania psychicznych motywów zbrodni, powinno być pierwszym obowiązkiem sprawiedliwości".

Ale to obecnie na nic absolutnie zdać się nie może, gdyż „albo mężczyzna nie uczynił nic takiego, coby stało w sprzeczności z kodeksem karnym, albo też ma na swą obronę, jako ojciec nieślubnego dziecka, specjalne paragrafy prawne. Conajwyżej sąd może go skazać tylko na płacenie skromnych alimentów, bo za pozostawienie nieślubnej matki dziecka swego na pastwę hańby i niedoli, na całą tragiedję wzgardliwej samotności, — nie zna dzisiejsze prawo kary dla mężczyzny".

Stwierdziwszy, że w ani jednym państwie nie istnieją dzisiaj przepisy prawne, określające jednakowe obowiązki ojca zarówno względem dzieci prawych, jak i dzieci zrodzonych poza małżeństwem, tak ciągnie dalej autorka: „najlogiczniejsze nawet dowodzenia o nizkim poziomie moralnym zbrodniarki, lub o wpływie samego aktu rodzenia, jako o duchowych pobudkach przestępstwa, są zupełnie zbyteczne. Powinno być wprost dla każdego sądu kwestją godności i honoru skazywanie matki, lub jakiejkolwiek osoby trzeciej, działającej z nią w porozumieniu, za zabójstwo dziecka łoża nieprawego na najłagodniejszą z możliwych kar bowiem obecny stan prawa, którego rzecznikami są sądy, sam dźwiga na sobie najpoważniejszy zarzut współczesny, gwarantując mężczyźnie zupełną bezkarność".

Twierdzenie to popiera p. Meyer nie teoretycznymi argumentami, jeno szeregiem zbadanych przez siebie żywych wypadków, które same za siebie mówią dość jasno. Oto kilka z nich — jedne z najcharakterystyczniejszych i najczęstszych:

Służąca zabija ze strachu przed wstydem i nędzą swe dziecko, którego ojcem jest jej były chlebodawca-wdowiec.

Kelnerkę hotelową upija jakiś nieznany jej gość, który na pół-przytomnej dopuszcza się defloracji, a następnego dnia opuszcza hotel. Dziewczyna zachodzi w ciążę; kryje się z tym przed narzeczonym swoim i wreszcie w rozpaczy zabija przedwcześnie urodzone dziecko.

Córka dość zamożnych rodziców daje się uwieść obietnicom małżeństwa i przez długi czas żyje pod jednym dachem z narzeczonym. Przed ostatecznym terminem oczekiwanego ślubu mężczyzna znika, zostawiając ją w ostatnim okresie ciąży. Dziewczyna, by nie umrzeć z głodu, dopuszcza się kilkakrotnych drobnych kradzieży. Podczas porodu pozwala świadomie dziecku umrzeć z powodu upływu krwi.

I takich, lub tym podobnych wypadków opisuje nam autorka około czterdziestu. Są to zresztą rzeczy wszystkim nam znane, odbywające się niemal codziennie, prawie przed naszymi oczyma. I za to samo, za co mężczyźnie, według istniejących norm prawnych wszechwładnej opinji publicznej, ani jeden włos z głowy nie spadnie, musi kobieta płacić zbrodnią i długimi latami więzienia.

Ale jawne zbrodnie dzieciobójstwa — to nie wszystko. Inny autor, Brouardel, poruszający ten sam temat, w jednej ze swych prac wypowiedział twierdzenie, że tylko moralnie wyżej postawione uwiedzione dziewczęta zdobywają się na zabójstwo dziecka. Większość zaś o mniej rozwiniętym poczuciu etycznym oddaje swe nieślubne niemowlęta do tak zw. „fabrykantek aniołków", płaci czas jakiś za ich utrzymanie, a potym znika bez śladu, nie troszcząc sie zupełnie o los porzuconych dzieci. I to pośrednie dzieciobójstwo jest stokroć częstsze, niż bezpośrednie, i dlatego stokroć od niego groźniejsze. Ale zarówno jedna forma, jak i dru-

---

między nami a życiem otchłań nieprzeskoczoną, próżnię bezdenną, której nie można zapełnić żadnymi symbolami ani napomknieniami o tym, co się dzieje na tamtym, zbyt dalekim brzegu. Najdalsze analogie, najbarwniejszy symbolizm jest zbyt słabą kompensatą strat nieobliczalnych i nie może ożywić tej próżni, która przeplata t. z. stosunki międzyludzkie.

Parodoksem się to wyda, bolesnym, pełnym sarkazmu paradoksem, gdy powiemy, że jedynie skargi i jęki nędzarzy, pochrzęst ich pięści, głodem pokurczonych, głuchy pomruk i rzężenie piersi, którym odmówiono „środków do życia" — jedynie te *bezpośrednio* z życiem związane krwawe głosy i męczarnie, rozedrgane ruchy godne są i zdolne zapełnić ową próżnię, ożywić jej martwotę, uczynić ją znośną i usprawiedliwić jej obecność,

Jeżeli więc serce nasze może się zdobyć na zimny, wyrachowany rozum, widzący w niepokonanej konieczności swój przepych i swoją purpurę, — to błogosławimy te jęki i skargi! Są one jedyną nieomylną łącznicą pomiędzy nami a owym życiem na tamtym, na dalekim brzegu!...

Zbytnie nagromadzenie się w danej epoce abstrakcji, pośredniczących pomiędzy nami a życiem, zbytnie rozpanoszenie się owych kapłanów-pośredników, zdobywających większe od samych bogów znaczenie, musi nareszcie doprowadzić ów cały gmach abstrakcyjny do rozchwiania się, do ruiny.

Są to chwile, które zjawiają się pod nazwą — powrotu do natury, do człowieka wyzwolonego, do życia bezpośredniego.

Cały łańcuch przyczyn i skutków, wstrząśnięty nagłym, nieprzewidzianym wichrem zbyt długo na tym łańcuchu trzymanych żywiołów, ze zgrzytem rdzawym zda się zapadać w próżnię, nad którą zawisał.

Ale są to chwile jakoby ekstazy natchnionej, chwile nagłej tęsknoty do tamtego brzegu, chwile współtwórczości, kiedy wszystkie duchy odczuwają swe najbliższe pokrewieństwo z *natura naturans*...

Chwile tylko... Nie możemy ich uważać ani za przeznaczenia, ani za zasady, ani za trwałe podwaliny dla nieustannej budowy życia zbiorowego. Są to chwile natchnienia, dzięki którym *natura naturata* zdobywa dla swego „muzeum we wszechświecie" nowe okazy, nowe skarby nieprzewidzianej twórczości.

Chwile te przeminąć muszą. *Człowiek przeciętny* obejmuje na nowo swe rządy.

KONIEC.

ga, tych bezmiernie smutnych mordów jest nietylko hańbą dla współczesnych społeczeństw kulturalnych, ale jednocześnie jest druzgocącym pretestem przeciwko ich niesprawiedliwym urządzeniom.

I słusznie też podnosi Małgorzata Meyer w końcowych wywodach swych badań, że społeczeństwo musi walczyć z widmem dzieciobójstwa, a pierwszym tej walki czynem winno być zupełne zrównanie praw dzieci ślubnych i zrodzonych poza małżeństwem, dopuszczenie kobiet do urzędów sądowych i pociąganie do odpowiedzialności karnej wraz z kobietą i mężczyzny, jeśli ten winnym jest powstania psychicznego motywu dzieciobójstwa.

M. S.

Myśli przewodnie w sprawie wychodźetwa.

I.

Wychodźctwo polskie ma swoją odrębną historję, różną od historji wychodźctwa innych narodów. Jest to obok tego wychodźctwo najmłodsze. Rozejrzenie się w tej historji pozwala się zorjentować co do roli, jaką ono może odegrywać i co do losu, jaki je oczekuje.

Wychodźctwa z Polski poza kolonizowaniem sąsiedniej Rusi i Litwy nie było przez cały czas dziejów, podczas których Polska umiała ochraniać swą niezawisłość polityczną. Dopiero z utratą niezawisłości politycznej rozpoczyna się okres wychodźctwa. Gdyby polityka królów polskich, a raczej szlachty i możnowładztwa polskiego, była więcej przezorną i przenikliwą i umiała oprzeć trwałe granice państwa o morze, które tak ważną odgrywa rolę w rozwoju narodów nad nim osiadłych, to prawdopodobnie wychodźctwo polskie rozpoczęłoby się wcześniej i przybrałoby taki sam charakter, jak wychodźtwo z innych nadmorskich krajów Europy.

Stało się jednak inaczej.

Fakt utraty niezawisłości politycznej stworzył wychodźctwo początkowo wyłącznie polityczne. Emigrowali ludzie wyłącznie z pobudek politycznych tacy nieprzejednani, którzy z wytworzonym stanem rzeczy w Polsce pogodzić się nie mogli, którzy widzieli możliwość na drodze zbrojnej i dyplomatycznej odrodzenia tego, co się stało. Uosabiali ci wychodźcy nieprzedawnione nigdy prawa do odbudowy państwa polskiego i skupiali w sobie siły militarne i wpływy dyplomatyczne.

Kościuszko, Dąbrowski, Niemcewicz, Kniaziewicz, legjoniści, oto postacie typowe pierwszych zastępów wychodźczych, Mochnacki, Lelewel, — to drugie pokolenie typowe wychodźców.

Lud polski w tym wychodźctwie nie bierze udziału, a tylko te warstwy ludności, które są i były politycznie czynnymi, posiadały świadomość i wrażliwość, polityczną, zatym magnaci i szlachta. Tym utrata polityczna Polski dotkliwie dała się odczuć i ci we wskrzeszeniu Polskiego państwa najwięcej bezpośrednio byli zainteresowani.

Ten okres wychodźctwa politycznego trwał ze słabnącym coraz bardziej tętnem i znaczeniem niemal do roku 1863 t. j. do ostatniego zbrojnego wysiłku, skierowanego ku obaleniu najazdu. Te pierwsze zastępy wychodźctwa politycznego to był jakby wyparty z granic Polski i milcząco uznany rząd i armja, ustępujące przed przemocą i przewagą nieprzyjacielskich wojsk. Wpływ tej emigracji politycznej na wypadki w kraju początkowo był bardzo duży i rozstrzygający, czemu wiele okoliczności sprzyjało. Emigrowali wysocy dostojnicy dawnej Polski, wysokie rangi wojskowe, ludzie utalentowani, bogaci, utytułowani, popularni i zasłużeni, pozostawiający w opuszczanym kraju wielu wielbicieli i wyznawców swych dążeń. Chwilami można było niemal mówić, że emigracja polityczna była rządem Polski podbitej, pozostającym na dobrowolnym wygnaniu. Nie jest naszym celem kreślić tu szczegółowo dzieje tej emigracji i jej oddziaływania na wypadki polityczne w kraju. Powiemy tyle, że wśród tej emigracji, odrodzeniowa a spóźniona myśl społeczna, której ani sejm czteroletni, ani konstytucja 3 maja, ani manifest Połaniecki Kościuszki nie zdążyły urzeczywistnić, a która miała uodpornić naród, pomnożyć jego zasoby polityczne i uchronić od katastrofy politycznej, była wznawianą i dalej rozwijaną, ale nie w tej mierze, ażeby ona zdolną się okazała obudzić z uśpienia politycznego szerokie masy ludowe i wciągnąć je w wir walki o emancypację polityczną.

Skutkiem tego, wszystkie próby zbrojnego wypędzania najazdu z granic Polski znajdowały zasiłek czynny tylko zawsze ze strony szlachty, jedynej spadkobierczyni politycznych dziejów i pokuty, do której w ostatniej dobie tego okresu dołączało się na przyprzążkę trochę mieszczaństwa i trochę ludu wiejskiego. W dodatku jeszcze nie cała szlachta zaciągała się pod sztandar rewindykacji polskich praw do niepodległości państwowej, gdyż nie brakło zdrajców sprawy narodowej i obojętnych na wszystko zniewieściałych sobków.

Rządy obce ze swej strony nie spały na zagarniętym terenie polskim, lecz wszelką polską robotę polityczną usiłowały śledzić, paraliżować, wytrawiać i jej zapobiegać. W tych warunkach wszystkie próby zbrojnej walki z nieprzyjacielem nie potrafiły nigdy nabrać takiego rozmiaru, zasobności i impetu, ażeby zaważyć poważnie na szali losów politycznych narodu i osiągnąć swój upragniony cel. Gdy akcja zbrojna nie przybierała pokaźniejszych rozmiarów, to i rachuby dyplomatyczne musiały zawodzić, gdyż dyplomacja nie jest żadną filantropją, lecz samolubnym wyrachowaniem, która ofiarowuje swe usługi tam, gdzie widzi walory militarne i pieniężne, a odwraca się plecami tam, gdzie tych wartości brakuje.

Wpływ na kraj rodzinny politycznej emigracji, gdy nie mogła się ona wylegitymować żadnym zwycięstwem dyplomatycznym i wojennym, malał coraz bardziej, w dodatku, gdy rachuby wojenne i dyplomatyczne zawiodły, szlachta politycznie opozycyjna i nieprzejednana wyczerpała się, poczęła godzić się z losem, przystosowywać się do faktów dokonanych i wytworzyła to, co jest znanym pod nazwą „trójlojalizmu". Nowe pokolenia, karmione innymi wspomnieniami i doświadczeniami, stopniowo musiały zatracać wrażliwość na irredentystyczne hasła. Sama emigracja polityczna jakościowo i ilościowo coraz bardziej malała. Zbyt długotrwałe wreszcie oddalenie emigrantów politycznych od zmieniających się wciąż stosunków społeczno-politycznych w dzielnicach polskich i dostosowanych do tego wyobrażeń i poglądów, poderwało do reszty autorytet emigracji w dyktowaniu wskazań politycznych na dziś i na jutro, obustronne bowiem rozumienie się stawało się coraz trudniejszym i zamieniło się wreszcie na nieustające nieporozumienie.

Takim to sposobem okres pierwszy historji wychodźctwa o charakterze wybitnie politycznym zakończył się uwiędem na wychodźctwie mohikanów zbrojnych walk niepodległościowych i ułożeniem się szlachty polskiej do wyrozumowanej drzemki politycznej. Z chwilą, gdy szlachta polska i sekundująca jej inteligiencja, ułożyli się do politycznego snu, obudził się ze snu politycznego lud polski, co było spóźnionym posiewem poprzednio już rozbudzonej i szerzonej myśli politycznej, która dążenia niepodległościowe nieodłącznie wiązała z głęboko sięgającymi przewrotami społecznymi.

Czego nie zdołała osiągnąć dyplomacja i wojny powstańcze pod przewodem politycznej emigracji, to

spodziewano się osiągnąć w drodze społecznej rewolucji, opartej o interesy i udział czynny szerokich mas ludowych. To dało początek nowemu pokoleniu emigracji politycznej, które prawie zupełnie nie miało poparcia u szlachty i inteligiencji, bądź co bądź jeszcze w ten lub inny sposób uprzywilejowanej, które z tytułu swego charakteru znalazło się również w mniej więcej wrogim stosunku do rządów obcych mocarstw. Emigracja tego nowego typu nie ograniczała się do roli pomocniczej, lecz chciała przewodzić myśli politycznej i ruchom politycznym w kraju, tak długo, aż ruch ten się nie rozrósł i nie znalazł dostatecznego usamodzielnienia. To nowe pokolenie emigracji politycznej o zupełnie innych ambicjach liczebnie wzrasta w miarę wzmagania się ucisku politycznego ze strony rządów zaborczych i w miarę mnożenia się i wzmagania tego ruchu. Liczebność jego jest jednak na tyle nikłą i małą, że jest ono tylko znikomą domieszką wychodźctwa za chlebem.

Rodowodu tego ostatniego wychodźctwa szukać trzeba w tym samym ucisku politycznym obcych rządów, który zrodził i poprzednie dwie kategorje wychodźctwa politycznego starszej i nowszej daty. Rządy nie dla sportu, ani dla krzewienia dobrodziejstw kultury dokonywają podbojów, lecz poto, ażeby kosztem zdobytych krajów się tuczyć. Bez obawy przesadzenia można utrzymywać, że od czasu podziałów Polski 1 — $1^1/_2$ miljarda rb., straconych dla polskiej kultury, spotrzebowane zostało przez rządy panujące, jako czysty zysk na dobro narodów, które one reprezentują. Gdy do tego dodać administracyjne, oświatowe, kulturalne zaniedbanie, jakie rządy zaborcze ujawniają względem polskich prowincji, ażeby je utrzymywać w stanie wycieńczenia i słabości, to staną się zrozumiałe dwa fakty: bezprzykładnie nizki poziom kulturalny polskiej ludności ze wszystkim, co do tego należy i bezprzykładne zubożenie tej ludności. Te dwa fakty są źródłem trzeciego, jakim jest wychodźctwo zarobkowe ostatniej doby historycznej, zamorskie i czasowe do krajów bliżej położonych, gdzie wyższy dobrobyt i wyższa kultura umożliwiają lepsze zarobki. Te dwa fakty, o których wyżej była mowa, nietylko stwarzają wychodźctwo, lecz określają fizjognomję, kształtowanie się i historję tego wychodźctwa zdala od kraju macierzystego.

(c. d. n.). *Alexy Kurcyusz.*

Projekty praw.

„Najpierw uspokojenie, a potym reformy". „Uspokojenie" zapanowało już oddawna, ale reformy jeszcze „nie dojrzały". Zamiast tego biurokracja daje inne owoce, jakkolwiek również jeszcze niedojrzałe; ale te dojrzeją, gdy się wyleżą, jak kwaśne jabłka zimowe.

Tym podarunkiem pośrednim pomiędzy „uspokojeniem" a „reformami" są „projekty praw" („zakonoprojekty"), opracowane przeważnie w takim duchu, w jakim było wypracowywane „uspokojenie". Ludność, o ile dobrze zrozumiała dobrodziejstwa „uspokojenia", o ile wyniosła z niego pożyteczną naukę dla siebie, powinna skwapliwie się przystosować do ofiarowywanych wspaniałomyślnie projektów praw.

Między innymi na szczególną uwagę zasługuje projekt prawa emigracyjnego, opracowany przez ministerjum handlu i przemysłu. Już przed kilku miesiącami międzywydziałowe narady pod przewodnictwem wice-ministra handlu i przemysłu, p. Millera, zwróciły uwagę ogółu i prasy, a to wielkie zainteresowanie świadczyło o doniosłości całej sprawy. Jak wiadomo, nieuregulowana dotąd emigracja z państwa rosyjskiego należy do spraw najbardziej zaniedbanych. Pod względem ruchu wychodźczego w całej Europie najwybitniejsze miejsce zajmują Włochy, a po nich Rosja. Ten zaś ruch masowy bynajmniej nie świadczy o dobrobycie ludności. Pomimo jednak nieustannego wzrostu emigracji i jej znaczenia, pomimo iż z rokiem każdym olbrzymio się zwiększa emigracja za Ocean i wychodźtwo zarobkowe z Królestwa Polskiego, Litwy i Białejrusi, rząd dotąd nic nie zdziałał w sprawie uregulowania tego ruchu i tylko Polacy i żydzi ujawnili samopomoc społeczną w tej mierze, przez stworzenie opieki nad emigrantami pod postacią towarzystw emigracyjnych. Ale i ta działalność nie może się rozwinąć należycie, skutkiem licznych przeszkód i hamulców biurokracji, która zawsze w samopomocy społecznej szuka przedewszystkim pierwiastków, grożących „spokojowi publicznemu" i „porządkowi państwowemu". Natomiast sama biurokracja dotąd nic nie stworzyła w tej dziedzinie, a nawet przeciwnie — wszelkimi sposobami utrudniała ruch emigracyjny i wychodźtwo zarobkowe. Przedewszystkim jednym z najważniejszych hamulców są utrudnienia paszportowe. Otrzymanie paszportu zagranicznego wogóle, a emigracyjnego w szczególności poprzedzają niezliczone formalności. Ściągnięcie wymaganych wiadomości policyjnych oraz innych danych pochłaniają dużo czasu i środków szczególnie tym emigrantom, którzy mieszkają zdala od ognisk administracyjnych.

Oficjalnie pasport zagraniczny kosztuje 15 rb.; faktycznie zaś każdy emigrant musi wydać na to 40—50 rb., a niekiedy nawet więcej. Największy, najzawilszy labirynt czeka emigranta po otrzymaniu owego kosztownego dokumentu. Wychodźcy, nie mając żadnych wskazówek, żadnej opieki, idą na oślep i dostają się przedewszystkim w ręce oszustów i spekulantów emigracyjnych, którzy potworzyli szeroko rozgałęzione przedsiębiorstwa, obsadzili swymi agientami punkty pograniczne i rozesłali naganiaczy po wszystkich okolicach kraju, w których jest jakiekolwiek prawdopodobieństwo wywołania lub wyzyskania ruchu emigracyjnego. Ci właśnie naganiacze i „opiekunowie" emigrantów w najbezczelniejszy sposób wyzyskują lub wprost rabują swoje ofiary. Najwięcej ofiar takiego rabunku rekrutuje się z pośród tych, którzy chcąc uniknąć uciążliwych formalności i kosztów pasportowych, szukają dróg nielegalnych dla przejścia granicy. Ci całkowicie muszą się oddawać w ręce agientów emigracyjnych. Obrani przez nich do ostatniego grosza, przemycani za granicę, nieszczęśliwi wychodźcy, bez znajomości języka, ciemni, znękani, wpadają w nędzę i rozpacz i częstokroć stają się ofiarami dalszego wyzysku za granicą, jako tania, posłuszna siła robocza, tworząca szeregi białych niewolników, szczególnie w państwie niemieckim. Nie lepszego losu doznają oni również za oceanem, zwłaszcza w kopalniach kalifornijskich, w których niewolnictwo na dobre jest uprawiane.

Zdawałoby się tedy, że nowe prawo, opracowane przez ministerjum handlu i przemysłu, powinno mieć na celu przedewszystkim usunięcie tych wszystkich ciężkich niedomagań emigracji. Tymczasem jest to twór całkiem inny, twór biurokratyczny w całym znaczeniu, ściśle według kursu dzisiejszego, pod hasłem nacjonalizmu i patryjotyzmu urzędowego. Cały projekt prawa polega na popieraniu *rosyjskich* przedsiębiorstw przewozowych. Z ulg pasportowych będą korzystali tylko ci emigranci, którzy wyruszą na parowcach *rosyjskich* i z portów *rosyjskich.* Ci, którzy zapragną skorzystać z ulg pasportowych, muszą nietylko wyjeżdżać, ale i wracać na parowcach rosyjskich. W razie powrotu na parowcu obcym lub drogą lądową, emigrant musi zapłacić należność za pasport, według przepisów ogólnych, w stosunku czasu, przebytego na obczyźnie.

Tym sposobem nowe prawo bynajmniej nie ma

na celu uregulowania ruchu emigracyjnego i ulg dla emigrantów, ale raczej uregulowanie kierunku emigracyjnego według marszruty, wytkniętej przez rosyjskie przedsiębiorstwa żeglugi okrętowej. Powiedzmy wyraźniej: nowe prawo emigracyjne ma na celu wyłącznie interesy rosyjskich przedsiębiorstw żeglugi morskiej. O ile więc samopomoc społeczna w tej dziedzinie nie będzie mogła się rozwinąć szeroko skutkiem utrudnień biurokratycznych, ruch emigracyjny w dalszym ciągu pozostanie w warunkach opłakanych. Ci zaś, którzy mieszkają zdala od portów rosyjskich a zechcą skorzystać z ulg pasportowych, będą mieli ulgi fikcyjne, gdyż podróż do portów odległych i dłuższa, a więc kosztowniejsza podróż z tych portów, pochłoną więcej środków, niż są warte owe ulgi. Natomiast sprawa opieki nad wychodźcami, sprawa zwalczenia wyzyskiwaczy — agientów emigracyjnych, kierowania ruchu wychodźczego tam, gdzie emigranci mogą znaleźć pracę i podstawę bytu, wreszcie sprawa opieki nad wychodźtwem zarobkowym, wyzyskiwanym w państwie niemieckim — pozostaną nadal nietknięte przez nowe prawo. Można więc ten nowy twór biurokratyczny nazwać prawem regulującym przewóz emigrantów i usuwającym obcych konkurentów w przedsiębiorstwach przewozowych.

Jest rzeczą wielce ciekawą, jaki przebieg będą miały obrady w Dumie nad tym projektem. W programie sesji jesiennej są jeszcze inne projekty praw do rozważenia, które przechodzą od Dumy do Dumy, od kadencji do kadencji i zmieniają swój duch i postać niekiedy zasadniczo. Do takich projektów należą: prawo nietykalności osobistej, prawo normalnego wypoczynku, prawo podatku dochodowego, prawo odpowiedzialności cywilnej osób urzędowych, prawo granicy osiadłości żydów i wiele innych.

Drobnomieszczaństwo żydowskie liczyło bardzo wiele na prawo, zapowiadające zniesienie granicy osiadłości. Z całkowitego równouprawnienia żydów na razie zrezygnowano, jako z reformy, nie mającej najmniejszych szans urzeczywistnienia. Natomiast wierzono w możliwość zniesienia granic osiadłości, zwłaszcza od chwili, gdy zadeklarowało poparcie tej sprawy 150 posłów, pomiędzy którymi była spora liczba październikowców. Wkrótce jednak złudzenia rozwiał Guczkow, który oświadczył wywiadowcom prasowym, iż październikowcy będą popierali tylko częściowe zniesienie granic osiadłości, t. j. nadanie żydom prawa zamieszkiwania tylko w miastach z zakazem osiedlania się po wsiach. Pomimo tego oświadczenia, była jeszcze garść łatwowiernych optymistów, liczących na pomoc październikowców, chociaż w takim uszczuplonym zakresie. Ale oto zbliża się jesienna sesja Dumy; ogłoszono program prac, a sprawy granic osiedlenia żydów ani śladu! Usunięto zupełnie tę kwestję z programu obrad. Śród sfer żydowskich, bardziej przewidujących i niepodlegających złudzeniom, to wykreślenie z programu prac Dumy kwestji żydowskiej jest uważane nawet za objaw dla żydów pomyślniejszy. Wobec bowiem rozpalenia się antysemityzmu w masach czarnosecinnych i... w Dumie, wywołanie też kwestji drażliwej w „parlamencie" byłoby rzeczą niebezpieczną i mogłoby nawet się stać pobudką do akcji chuligańskiej pod reżyserją Puryszkiewiczów i innych dusz pokrewnych. Już tego rodzaju „przedstawiciele narodu" wypowiadali nawet swoje pogróżki, a w szeregach sojuszniczych projektowano energiczną akcję przeciwko prawu, rozszerzającemu granice osiadłości dla żydów. Stała się tedy rzecz *pomyślna*, iż tę sprawę usunięto z programu obrad Dumy.

Zdaje mi się, iż takich spraw pomyślnych będzie jeszcze więcej. Trzecia Duma bowiem stała się ogniskiem nienawiści plemiennej od chwili, gdy tam poruszono szereg spraw, dotyczących „inorodców". Trzeba tedy unikać wszelkich projektów praw, mających na względzie „obywateli" drugiego, czy trzeciego stopnia. Do instytucji „prawodawczej", uchwalającej pogwałcenia praw, mogą tylko przychodzić gotowe „projekty praw" do zatwierdzenia zawsze z góry pewną większością głosów.

Należy pamiętać o tym, że „parlament" staje się coraz bardziej wydziałem wszechministerjalnym i takie jego stanowisko obecnie jeszcze wyraźniej się zaznaczy i utrwali, po nowym układzie stronnictw, po zmianie ich programów i po uświęceniu nowego sposobu „wyboru" posłów, jak w Odesie, w której powołano posła... z nominacji p. Tołmaczowa. Taka forma wyboru takie „zwycięztwo" żywiołów reakcyjnych ma doniosłe znaczenie i z tym faktem trzeba się liczyć poważnie, bo za nim pójdzie szereg innych według metody wypróbowanej i uznanej. Dziś jeszcze istnieje pozór, komedja wyborów według rozkazu i wskazówek dyktatora administracyjnego; jutro taka komedja będzie uznana za zbyteczną i posłowie będą nominowani według uproszczonej procedury, z pominięciem urn i kartek wyborczych.

Zen. Pietkiewicz.

Mój antysemityzm.

I.

Mozaizm przedstawia się nam w właściwym świetle — a poniekąd może i nieco nowym — gdy patrzyć się nań będziemy przez pryzmat *hierarchji porównawczej*, przy której pomocy różne systematy religijne zestawimy na szczeblach drabiny hjerarchicznej i pomiędzy tymi systematami przeprowadzimy pewną *paralelę*, pewne podobieństwa i różnice.

Na najwyższym stopniu naszej drabiny hjerarchicznej umieścimy *protestantyzm*, jako najwięcej czynników *autokrytyki* mający. Już nietylko w środowisku świeckim znajdujemy liczne kadry protestantów, usposobionych krytycznie, ale nawet w łonie *duchowieństwa*, śród pastorów, spotykamy chlubne pod tym względem wyjątki, i to — dość liczne.

Na drugim stopniu naszej drabiny o wiele niżej stawimy *katolicyzm*. Ten podlega ciągłemu i bezustannemu ostrzeliwaniu z fortów laicyzacji życiowej, co poczyniło w nim takie wyłomy, że resztki murów chińskich, za którymi się ukrywał, walą się w gruzy za lada podmuchem. Również liczba „dezerterów" z katolickiej armji duchownej wzrasta z każdym dniem. Z pośród licznych nazwisk, notujemy nazwiska: *księdza Alfreda Loisy* i *księdza Romolo Murri*.

Na najniższym szczeblu naszej drabiny o całą przepaść od pierwszych dwuch odległym stanie—*mozaizm*. Tutaj żaden krytycyzm nie istnieje. Urodzonych mozaistów, krytycznie mozaizm traktujących — *niema wcale*. *Maksymalna* liczba wolnych myślicieli żydowskich da się policzyć zaledwie na palcach jednej ręki. Zdaje się, że i ten rachunek jest jeszcze zbyt łagodny. Niema więc wolnych myślicieli żydowskich, lecz są nader nieliczne *wyjątki*, które potwierdzają *regułę*. To też probierzem właściwym będzie tu — *zaskorupiałość*. Albowiem ani dziejowe klęski, ani ożywcze promienie cywilizacji nie zdołały grubych ścian tej *skorupy* rozsadzić. A więc tylko z tą etykietą na czole wypadnie mozaizmowi stanąć na ostatnim szczeblu naszej drabiny porównawczej, by z tych *nizin* głosić światu swą *potęgę ciemnoty*. I ten mozaizm jest jeszcze dzisiaj sławiony przez adeptów t. zw. *czystej wiary*, „niezbędnej ludowi" i sięgającej po laury *narodowego żydów prestige*'u!.. Tak jest. Ci kalchasi w jarmułkach i... cylindrach narodowy *prestige* żydowski upatrują w „wierze mojżeszowej", „najmądrzejszej

i najbardziej ludzkiej" [1]) Dodajmy do tego, że ani pastorów Albertów Kalthoffów, ani księży Alfredów Loisy'ch, ani żadnej innej „parszywej owcy"—kościół żydowski nie zna. Nie było ich dawniej i niema ich teraz, nie było ich w wiekach średnich, w wiekach krwawej tyranji i *czarnego Ghetta* — i niema ich dzisiaj, w wieku Marconiego, Blériot'a, w wieku oddzielenia Kościoła od Państwa... *w Hiszpanji.* Znaczy to, że *religja żydowska w wieku XX znajduje się na tym samym poziomie, co i w wieku V lub XIII.* [2]) Emancypację myśli żydowskiej świeckiej zawdzięczać należy kulturze *środowisk*, śród których żydzi przebywają. Natomiast rabinat i wiernie oddany mu lud są jednakowo od kultury tych środowisk dalecy i obcy. Przyczyny tej obcości leżą jak na dłoni. Duchowieństwo żydowskie i lud żydowski żyją pospołu *w atmosferze Ghetta*, przyczym Ghetto wynika *z wiary*, tak, że główną przyczyną będzie *religja.* Tedy jest jasnym, że nie może być mowy o jakiejkolwiek emancypacji, o jakiejkolwiek ewolucji, o jakiejkolwiek *asymilacji* tych sfer — bez usunięcia głównej przeszkody. Twierdzenie, że lud żydowski nie wierzy, lub że wierzy w słabym tylko stopniu — jest stanowczo błędne. Twierdzeniu temu przeczy w żywe oczy — zamożność kleru żydowskiego. Niektórzy cadycy cudotwórcy są posiadaczami miljonowych fortun.

Gdyby lud nie wierzył *w cuda* cadyków, ci ostatni nie byliby „dyrektorami" różnych dochodowych przedsiębiorstw z krociowym kapitałem. „Radykalne" i „demokratyczne" gazety żargonowe nie protestują przeciw eksploatacji ludu przez *świętych mędrców*, ponieważ ci ostatni, jako *apostołowie wiary* to... *prestige narodowy żydów* i powtóre, gdyby protestowali, rabini zażegli by lud do buntu i pod grozą klątwy zakazaliby czytania gazet żargonowych. A że rabini, mimo wszystko, cieszą się ogromną popularnością śród ludu, przeto prasa żargonowa, robiąc to w własnym interesie, woli z nimi nie zadzierać. Istnieje tu nawet pewne *wewnętrzne* porozumienie, wewnętrzna wzajemność, polegająca na tym, że wzamian za tolerowanie prasy żargonowej (= świeckiej) rabinat jest niejako urzędowo popierany na szpaltach gazet żydowskich, istotnie poświęcających kwestjom rabinicznym sporo miejsca i pochlebnych epitetów.

II.

Dotychczas — skromnym zasobem swych sił i środków — starałem się przekonać czytelnika, że

1) mozaizm, pomimo postępów kultury i zmiany warunków, pozostał nadal w swej skorupie średniowiecznego fanatyzmu i tyrańskiej szacie teologicznego barbarzyństwa, — gdy w chrześcijaństwie dokonywa się bezustanna ewolucja pojęć w kierunku zniwelowania różnic, dzielących religje te od życia; że

2) mozaim, pomimo swej zaśniedziałości i nieprzystosowań do współczesnych pojęć i warunków życia, ma ogromną moc zwolenników z pośród inteligencji, wykonywującej wszystkie barbarzyńskie przepisy tory i talmudu i piszącej apologje na rzecz rzekomej etyki i humanitarności, jakoby zawartej w torze, a która, moim zdaniem, stoi na jednym poziomie etycznym z opublikowanym przez *Myśl Niepodległą* Szulchan-aruchem; że

3) radykalna myśl polska i polska myśl wolna w żaden sposób tolerować nie mogą istnienia zwartej i szkodliwej teokracji, w łonie swego organizmu, która w dodatku lubi podszywać się pod „humanitaryzm i postęp", czym wystawia na pośmiewisko te szanowne terminy; że

4) wreszcie, nie pozostaje nam nic innego, jak zorganizować się do walki *energicznej* i *planowej* z klerykalizmem żydowskim, bujnie kwitnącym na glebie najczarniejszej reakcji, i to pod egidą sfer, w których interesie leży zgnębienie samodzielności i drogich sercu polskiemu ideałów.

Ogłaszamy się więc za antyklerykalistów żydowskich i to w tym sensie, że zwalczać będziemy nietylko „niektóre barbarzyńskie przepisy tory", ale i samą torę, nietylko „bardziej fanatycznych rabinów", ale cały wogóle rabinat, ale i tę całą inteligiencję, która ów rabinat popiera, chociażby się tysiąc razy osłoniła poprawną polszczyzną i nawet krucyfiksem...

A teraz przystępuję do wyłożenia tego, co mi się wydaje szczególnie ważnym i na co pozwalam sobie najwięcej kłaść nacisku.

Oto obrońcy „czystej wiary", „niezbędnej dla ludu" (oh, nieszczęśliwy ludzie, tylko zgnilizna jest dla ciebie „niezbędnym" pokarmem!) i zawierającej przepisy „więcej humanitarne, niż cała etyka współczesna", oto ci panowie, w jarmułkach i cylindrach, we frakach wreszcie i chałatach, występują przed nami z taką mniej więcej prelekcją:

Religja — to my. Religja to judaizm. Rabinat — to ostoja religji żydowskiej. Kto walczy z rabinatem, walczy z religją żydowską; kto walczy z religją żydowską, walczy z nami, żydami, wogóle — a więc: żydowski *antyklerykalizm, to antysemityzm*!

I oto teraz właśnie kwestja żydowska nabiera zupełnie nowego charakteru, zupełnie nowego kolorytu, który pozwoli nam zrozumieć i wyjaśnić wiele ciekawych zjawisk. Bo oto teraz wreszcie rozumiemy, dlaczego cała prasa żargonowa a wraz z nią i całe zastępy inteligiencji żydowskiej nazywają wolnych myślicieli—„antysemitami w płaszczu filosemickim"... Wszystko to jest konsekwentne i wszystko to jest naturalne, tak, że niczemu dziwić się nie należy. Jasnym więc jest, że krytykowanie szulchan aruchu lub tory w mniemaniu inteligiencji żydowskiej i prasy żargonowej uchodzi za antysemityzm czystej wody...

Ale tutaj maleńki, lecz konieczny i nadzwyczaj charakterystyczny nawias.

Oto prasa żargonowa (a wraz z nią i inteligiencja żydowska) żywo interesuje się obecnym konfliktem między Stolicą Apostolską a Hiszpanją. Rodzi się tedy pytanie: Dlaczego wybitnie nacjonalistyczna i wybitnie klerykalna prasa żydowska raduje się, że odwieczna forteca katolicyzmu, Hiszpanja, wali się w gruzy? Dlaczego prasa ta uważa *politykę przeciwklerykalną* p. Canalejasa za „dzieło kulturalne, cywilizacyjne", za tak „*konieczny* dla swobodnego rozwoju zamieszkujących Hispanję narodów *postęp?*" Dlaczego z takim zajęciem śledzi przebieg walki i z taką niecierpliwością oczekuje jej wyniku? Oto dlatego, że obok zamkniętych czy zburzonych klasztorów wolno będzie zakładać, bóżnice, chedery, talmud-tory, jeniboty, bethamidrasze i t. p. instytucje, dotąd w Hiszpanji zakazywane.

Przypuszczam, że nawias ten nie wymaga jakichkolwiek komentarzy i że sam przez się dostatecznie maluje psychikę pseudo-postępowych i quasi-wolnomyślnych warstw żydowstwa. Zamykam go więc w tym miejscu i wracam do *swego antysemityzmu...*

Otóż dowiodłem powyżej, że nasi wolni myśliciele w mniemaniu inteligiencji żydowskiej, to antysemici... Lecz cóż my, wolni myśliciele, możemy na to wszystko odpowiedzieć? Czy oskarżymy naszych przeciwników o insynuację? Czy pośpieszymy wytłumaczyć im, że nie jesteśmy antysemitami? Czy może-

[1]) Porów. S. Auerbacha *Przyczynek do dziejów inkwizycji żydowskiej. Społeczeństwo* Nr. Nr 1—2, 1910.

[2]) Przypuszczam, że nie potrzebuję tutaj robić żadnych zastrzeżeń, że nie napisałem paradoksu. Mowa jest bowiem o wyzwoleniu myśli, o ewolucji pojęć *w łonie* duchowieństwa żydowskiego. A tutaj, każdy przyzna, średniowiecze panuje wszechwładnie. Uchwały zjazdów i komisji rabinicznych — to wiek X w wieku XX! Jeszcze jaskrawiej to średniowiecze występuje, gdy patrzymy się na nie przez pryzmat *modernizmu chrześcijańskiego.* A wszak i Spinozów żydzi mieli tylko w sensie *apostatów*

my mieć do nich urazę, że obdarzyli nas niepochlebnym mianem? Nie, nigdy. Istotnie, jesteśmy antysemitami. Jeśli żydzi powiadają *„religja — to my"*, jeśli utożsamiają narodowość z *wiarą*, mieszają pojęcie etniczne z pojęciem *intuicji*, to w takim razie sami uznajemy się za antysemitów... — *wraz z całym cywilizowanym światem*, który na miejsce pierwotnej normy wyznaniowej stawia współżycie świeckie jednostek i narodów.

Paryż *S. Auerbach.*

NA DOBIE.

Katastrofa.

Autorzy rozgłośnych romansów kryminalnych, pp. Conan-Doyle, Ponson du Terrail i Gaboriau, których fachowa wyobraźnia sadziła się bez wytchnienia na pomysły najniezwyklejszych zbrodni — dalecy byli jednak od potwornej wizji, jaką przed ogółem polskim postawił o. Damazy Macoch, paulin.

Potworność na tym tu właśnie polega, że za tło służy jej miejsce, uważane za świętość narodową, Mekka polskiego ducha — Jasna Góra, oblana łzami ekstazy niezliczonych pokoleń, a którą dziś stróże bezpieczeństwa musieli przetrząsać, jak przetrząsa się dom dwuznaczny, albo kryjówkę złodziei... Zarazem owe „krwawe tajemnice klasztoru", zapełniające szpalty całej prasy, każą najtępszym nawet głowom zastanowić się na chwilę i przyznać, że tam, na Jasnej Górze, okłamywano miljony prostaczków, że tam zawiedziono ślepą ufność ogółu, że tam *zaszargano mu świętość.*

* * *

Zła wola może opacznie nasze intencje przedstawić. Nie chęć urągania kieruje naszym piórem, lecz gorycz i żal palący, bezmierny.

Bo oto, przez lat dziesiątki rzucano miljony ludu na klęczki przed... Macochem... Plugawe dłonie błogosławiły rozmodlonym rzeszom, a inne ręce plugawe przebierały chciwie w groszach sierocych i wdowich, w datkach naiwnych i serdecznych, w ofiarach pobożnych, by z nich czerpać bezkarnie, bo bez kontroli, na pijackie orgje z kobietami w rodzaju Heleny Krzyżanowskiej...

Nakazywano bezgraniczną cześć dla klasztoru, a tam, po celach, chowano tysiące kradzionych rubli i stosy listów miłosnych.

Zwierzchność kościelna, całe duchowieństwo patrzało przez palce na brak kontroli, na gospodarkę oo. Paulinów, bowiem należałoby zacząć od kontroli... u siebie. Dziś wiedzą wszyscy, że co się na wielką skalę działo na Jasnej Górze, to dzieje się z pewnością w miniaturze w niejednej parafji, prócz tych niewielu, gdzie księża uczciwi sami kontrolę zaprowadzają...

Miłością bez granic, czcią serdeczną, umiłowaniem dziecięcym, najświętszym otaczano te mury zakonne — i oto sami słudzy Kościoła splugawili je krwią, obmierzili rabunkiem i zbrodnią, zbeszcześcili tak ohydnie, jak jeszcze nigdy żadna świątynia przez złoczyńców świeckich nie była splugawiona...

* * *

Gniew ludu wybucha teraz, jak burza. To też kler pośpiesznie stawia piorunochrony. Zamówiono w Rzymie klątwę telegraficzną na głównego sprawcę zbrodni, nakazano pokutę trzydniową, odebrano mnichom klasztor i osadzono w nim tymczasowo księży świeckich.

Czy to wystarcza?

Excomunicatio major tyle razy padała z wyżyn Watykanu na głowy uczonych, wolnych myślicieli, wzniosłych reformatorów; jakim prawem stawia się te wielkie postacie, którymi ludzkość się szczyci, obok łotra, jakiego świat nie widział?

A kiedy po korytarzach klasztoru snuć się poczną czarne habity zamiast białych — czy to zabezpieczy nas od *macochizmu?*

Wszak materjał ludzki, z którego kościół swe sługi rekrutuje, nie ulegnie przez to żadnej zmianie; wszak o. Damazy, czując się w murach klasztornych skrępowany, był już jedną nogą na własnym probostwie...

Ekspjacja musi być głębsza; w odgłosach zbrodni jasnogórskiej słychać rumor walących się murów: to pada w gruz ślepe zaufanie tego polskiego ludu, co w serdecznej ekstazie widział nieomal skrzydła anielskie u ramion oo. Paulinów, a dziś oczy sobie przeciera ze zgrozą i przerażeniem.

Straszna chwila! — wołają pobożni. Tak, ale zarazem jest to jedno z tych zbawczych *rozczarowań*, które naród dziecięcy czynią narodem pełnoletnim, każą świętości w sobie zamykać i samemu ich strzec; i jest to jedno z tych przesileń bolesnych, ale pożytecznych, które znamionują każdą fazę naszego rozwoju.

Skandal jest niekiedy prologiem przewrotu: katastrofa na Jasnej Górze może spowodować rewolucję pojęć. I to będzie dla współwinnych najdotkliwszą ekspjacją.

Dokoła bezrobocia tramwajów.

Warszawska spółka tramwajowa, przychyliwszy się po kilku dniach strajku do podań pracowników, z którymi nie chciała wcale pertraktować — kończy na tem, od czego zacząć należało.

Wszędzie są ludzie, którzy imają się właściwych metod wtedy dopiero, kiedy zużyli wszystkie możliwe formy błędu. Ale u nas takich ludzi stawia się na miejsca odpowiedzialne.

Warszawska spółka tramwajowa, gospodarując haniebnie, spowodowała kryzys, który dał się we znaki całemu miastu.

Bowiem Warszawa w ciągu kilku dni pozbawiona taniej lokomocji, na domiar złego, musiała z niechęcią i odrazą korzystać z pracy przymusowej głodnych i zmaltretowanych więźniów.

Takie grzechy ze strony zarządu określić należy jako skandal.

Pociągnąłby on natychmiastową *dymisję* zarządu, gdyby tam liczono się cokolwiek z rzeczami taktu i opinją publiczną.

Ale warszawska spółka tramwajowa nie wiele sobie robi z opinji, pomimo inseratów i notatek, pomieszczanych w gazetach, skąd *notabene* dowiedzieć się można, że pracownicy tramwajów tutejszych są o wiele lepiej teraz uposażeni, niż ich zagraniczni koledzy.

Być może; ale polepszenie swego bytu osiągnęli w sposób, dla zarządu wysoce niechlubny.

Jeśli sprawa personelu naszych tramwajów jest poniekąd załatwiona, to zauważyć się godzi, że sprawa *klijenteli* teraz się dopiero zaczyna.

Bowiem nie zechce chyba twierdzić Maciej ks. Radziwiłł, że Warszawa jest obsługiwana taniej i lepiej, niż miasta zagraniczne.

Bowiem obsługiwana jest *fatalnie.* Miasto podzielono dowolnie na *sekcje*, każąc sobie płacić za każdą z osobna. Jest to *wyzysk.* Paryż jest 4 razy większy od Warszawy, a przejechać go można od końca do końca za jednorazową opłatą. Nie dość na tem: kupując bilet I klasy, paryżanin ma prawo przesiąść się na inną linję i jechać dalej I klasą *bez żadnej dopłaty („correspondance")*. Co więcej; w trakcie tych peregrynacji nie jest niepokojony co 5 minut przez zgryźliwych kontrolerów. Kontrola w dobrze urządzonych tramwajach winna odbywać się *wewnątrz* przedsiębiorstwa, w czterech ścianach jego biur rachunkowych, po za plecami publiczności,

która, dalibóg, jest nazbyt tutaj potulna, skoro pozwala przetrząsać sobie kieszenie i ciągnąć się za rękawy przez koczujących buchalterów przezacnej kompanji.

Ciągnąc z nas ze smakiem krociowe, zawrotne dywidendy, spółka nie pomyślała o tem, by wprowadzić bilety „korespondencyjne", aby znieść nieznośne rewizje *a la* Neudhardt, związane z prymitywnym systemem kontroli, aby wreszcie zabezpieczyć publiczność od natłoku bodaj na węzłowych stacjach, przez wydawanie oczekującym *numerów kolejnych*, co radykalnie usuwa gorszące walki na łokcie i pięście.

O tym wszystkim zarząd nie pomyślał dotychczas i można przypuszczać, że nie pomyśli i nadal, o ile nie zmieni się w swym składzie.

Dotychczasowi dyrektorzy spółki ujawnili niepospolitą bystrość i głęboki dowcip w specyficznym układzie *kar służbowych*, dzięki czemu konduktor z *nominalną* pensją 48 rs nie może wykroczyć faktycznie poza 30—38 rubli.

To też warszawska spółka tramwajowa jest *grzęzawiskiem*, wzorowanym snadź na przesławnych rzeźniach chicagoskich i jest też jako takie traktowana przez ogół ze szczerą antypatją.

* * *

„Nim tłusty schudnie, to chudego djabli wezmą". Oto jedna z tych igieł w kopie „mądrości narodu", która tkwi prawdziwie za paznokciami życia i istotnie boli.

Wiedzą o tym konduktorzy i motorowi towarzystwa tramwajów warszawskich, wie o tym i ich zarząd.

Wie i, uroniwszy łzę krokodylą, śmieje się w kułak cichutko, w myśl również niezawodnej maksymy: „Rira le mieux, qui rira le dernier".

I prowokacja trwa, ta prowokacja, którąśmy zarządowi temu już w poprzednim numerze udowodnili, a którą na tym miejscu podkreślić musimy wyraźniej.

Nie jest to bynajmniej jakaś głęboka prawda, ale pewnik dobrze znany każdemu. Do ekscesów, do kroków gwałtownych i nieobmyślanych zdolni są ludzie tacy przeważnie, którzy nie mają wiele do stracenia.

Nawet i cny a tchórzliwy Zagłoba, przyparty do muru, brał sztandary, cóż dopiero mówić o ludziach nieposiadających przymiotów tego bohatera.

A zarząd swoją konsekwencją, swoim uporczywym trwaniem przy zniechęcaniu do pracy swoich oficjalistów odbiera im ostatni punkt wyjścia z położenia wcale nie rozkosznego.

Te ustępstwa o jakich trąbią pomawiane przez ks. Kłopotowskiego o „liberalizm" gazety nie rozwiązują bynajmniej konfliktu.

Nie szło tu w gruncie rzeczy o jakieś nic nieznaczące podwyżki, o przyznanie kożuchów i butów filcowych, rzeczy, przyznanych służbie ruchu na wszystkich kolejach i kolejkach świata, szło głównie o zasadniczą zmianę warunków pracy.

Jednym słowem szło o to, aby praktykowana dniówka ustąpiła wreszcie miejsca etatowi, t. j. aby konduktorzy i motorowi tramwajowi nie byli płatni dziennie lecz miesięcznie.

Dla pensjonarek szczegół to bez znaczenia, jednak ludzie dojrzali wiedzą, że pracownik płatny miesięcznie nie może być za byle co wydalony ze służby bez uprzedniego trzymiesięcznego wymówienia, że pracownik taki ma prawo żądać za dni choroby zapłaty, że wreszcie przysługuje mu również na całym okrągłym świecie dwudziestodziewięciodniowy urlop.

O takie zapoczątkowanie normalnego stosunku zarządu do pracowników i vice versa szło konduktorom i motorowym tramwajów warszawskich i tego im właśnie nie przyznano.

Ale póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.

Bodajbyśmy źle widzieli, lecz zdaje nam się, że ucho tego tramwajowego dzbana już wykazuje pęknięcia.

BADANIA NAUKOWE.

Moralność świecka.

Pierwotnie teologja zawiera w sobie wszystkie dziedziny wiedzy ludzkiej. W świętych Księgach jest i astronomja, i gieografja, i gieologja, i historja, matematyka, prawo, medycyna, ekonomja i t. d, a wszystko w stanie zaczątkowym i niezróżniczkowanym. Stopniowo nauki te oddzielają się od teologji, różniczkują i doskonalą. Wreszcie przychodzi filozofja świecka, która usiłuje nawiązać poszczególne nauki na wspólną nić, bez uciekania się do pierwiastków cudownych i nadprzyrodzonych. W ten sposób drzewo teologiczne ze wszystkimi swojemi rozgałęzieniami schnie, łamie się, staje się podścieliskiem nauki świeckiej, w którą przechodzą wszystkie soki żywotne teologji.

Otóż na tym zeschniętym i powalonym drzewie teologji jest jeszcze jedna gałęź pozornie żywa. Ta gałęź — to moralność teologiczna. Dla tego ugruntowanie moralności świeckiej i uzgodnienie jej z takim światopoglądem filozoficznym, w którym cud, opatrzność — słowem, bóstwo nie odgrywa żadnej roli; oparcie etyki nie na posłuszeństwie względem rozkazów z góry objawionych, a na uświadomienie naszych najgłębszych sił rozwojowych — oto ostatni epizod w odwiecznej walce wiedzy z wiarą.

W szeregu współczesnych twórców moralności naukowej i świeckiej *Guyau* zajmuje jedno z najwybitniejszych miejsc. Dzieło tego młodo zmarłego filozofa jest i długo jeszcze będzie żywe. Towarzystwo Kultury Polskiej, wydając w polskim przekładzie, jego *Moralność bez powinności i sankcji*[1]), wzbogaciło nasze piśmiennictwo rzeczą pierwszorzędnej wagi. Etyka „rozlewności życiowej" była już u nas przedmiotem krytyki i badania. Niemniej skorzystajmy ze sposobności, aby ją jeszcze raz w krótkości zcharakteryzować, zastrzegając się, że taka krótka analiza nie może zastąpić przeczytania i przemyślenia samej książki.

Jest rzeczą zwodniczą upatrywać w naturze pierwowzór dobra, mającego być przez nas urzeczywistnionym i obowiązującego nas. Jeżeli wyobrażamy sobie naturę, jako doskonałe dzieło wielkiego artysty, Boga, (hipoteza optymizmu), to nie należy nic zmieniać, niczem się gorszyć, bo każde wydarzenie jest cząstką doskonałego dzieła boskiego. Jeżeli znów zamiast uważać świat za doskonały w obecnym stanie, wprowadzamy pojęcie stałego i przez boskie prawo regulowanego postępu, to, nie znając zamierzonego przez Boga celu, do którego ma ten postęp prowadzić, nie możemy zeń wyprowadzić praktycznej reguły postępowania. Zresztą niepodobna dowieść jakiegoś planu we wszechwiecie. Świat — to obraz wspaniałego nieładu, dzieło tak niejednolite, że nie można go ani ganić, ani chwalić bezwzględnie. Ale widzieć w nim zupełne urzeczywistnienie jakiegokolwiek ideału, znaczyłoby poniżyć swój ideał, a więc poniżyć samego siebie: błąd mógłby stać się winą. „Kto ma swojego boga, ten powinien mieć dla niego tyle szacunku, żeby nie chcieć z niego robić stwórcy tego świata". Pojęcie życia wiecznego, które ma nas czekać, jako nagroda za dobre uczynki, nie da się udowodnić, bo, pominąwszy już inne argumenty, sami nabywamy tu tego, co możnaby nazwać doświadczeniem śmierci, a co odczuwamy jako ogromne zmęczenie w starości, w przewlekłych chorobach, w silnym osłabieniu.

Hipoteza pesymistyczna także nie daje oparcia praktycznej regule postępowania. Skoro widzimy, że ludzie żyją, pragną, dążą do różnych celów, działają — to znaczy, że nie uważają tego świata za bezwzględnie zły, że coś ich wiąże z nim i podtrzymuje ich istnienie. Cierpienie nie jest normalnym stanem

żadnej żywej istoty. Kto zbytnio cierpi, ten umiera i żadnych reguł postępowania nie potrzebuje.

Fakt obojętności natury na nasze bóle i radości również nie może być podstawą moralności praktycznej.

Odrzuciwszy dalej moralność „pewności praktycznej”, która wyobraża sobie, że jesteśmy w posiadaniu pewnego prawa moralnego (drogą intuicji, jak u szkockich filozofów, lub drogą możliwości uogólnienia danego działania, które okazało się moralnym, jak u Kanta), odrzuciwszy wreszcie moralność wiary, która tylko dla wierzących może mieć wartość, odrzuciwszy wreszcie moralność wątpienia, które paraliżuje czyn — Guyau zwraca się do samego życia, aby z niego wyciągnąć regułę moralną.

Życie rozdwaja się na dwie wielkie dziedziny: nieświadomą i świadomą, a jego zasadniczą cechą charakterystyczną jest działanie. Działanie więc może być świadome, podjęte dla osiągnięcia jakiegoś celu, albo nieświadome, instynktowe, takie, które ma tylko przyczynę, lecz celu niema. „Stały cel działania (świadomego) musiał być pierwotnie stałą przyczyną ruchów mniej lub więcej bezwiednych”. W ten sposób działanie jest cechą wspólną obydwóch dziedzin: nieświadomej i świadomej. A ponieważ przyczyną działania nieświadomego jest chęć podtrzymania i spotęgowania życia, więc taki jest i cel działania świadomego. „Powszechna przyczyna naszych czynności jest z innego punktu widzenia ich stałym wynikiem i celem”. Moralność tedy, najogólniej biorąc, to nauka, „której przedmiotem są wszelkie środki zachowania i spotęgowania życia materjalnego i umysłowego”. Potęgować natężenie życia znaczy „powiększać dziedzinę działalności pod wszelkimi jej formami (w mierze, dającej się pogodzić z odnowieniem sił)”. Istoty niższe działają w jednym tylko jakimś kierunku. Istota wyższa znajduje odpoczynek w rozmaitości działania. Najgorszym występkiem jest lenistwo, bezład. Przyjemność nie jest celem działania, bo najczęściej „działamy dla rozkoszy działania; żyjemy, żeby żyć; myślimy, żeby myśleć”. Przyjemność towarzyszy u wszystkich istnień poszukiwaniu życia daleko bardziej, niż wywołuje to poszukiwanie. Istota żywa, działając, tworzy sobie organ (neolamarkizm) i tworzy sobie przyjemność, która jak i organ, pochodzi od funkcji.

Słowem, tylko z życia możemy wyciągnąć regułę prakktycznego postępowania, a ta reguła najogólniej brzmi: „wzmagaj nieustannie natężenie twego życia!”

Ale życie we wszystkich swoich przejawach jest gromadzeniem i wydatkowaniem. Odżywiamy się i rozpładzamy, nabywamy i zbywamy, uczymy się i uczymy innych. Zawsze gromadzimy w sobie siłę, której część tylko idzie na odnowienie naszego organizmu, a reszta udziela się innym. Cechą życia jest płodność. Wytwarzamy pewien nadmiar, którego sami spożytkować nie możemy i który oddajemy innym. Jednak wogóle „wydatek powinien być pobudzeniem życia, a nie jego wyczerpaniem”. Nasz umysł, nasza uczciwość, nasza wola są tak samo płodne, jak nasz organizm fizjologiczny.

„Życie ma dwie strony: z jednej jest odżywianiem się i przyswajaniem, z drugiej wytwarzaniem i płodnością”. Im więcej ono nabywa, tym więcej musi wydatkować. Życie najbogatsze jest też najskłonniejsze do szczodrości, do poświęcania się w pewnej mierze, do dzielenia się z innymi. Jeżeli egoizmem nazwiemy przyswajanie, a altruizmem wytwarzanie dla innych — to obydwa są równie moralne, bo niezbędne życiu. I etyka czystego egoizmu (żyć dla siebie) i etyka czystego altruizmu(żyć dla innych) — nie mają sensu, bo właściwie im lepiej żyje się dla siebie, tym lepiej dla innych.

Wydatkowanie przejawia się w formie działania. „Czuć wewnętrznie, że jest się zdolnym do czegoś wyższego, jest to tym samym zyskać pierwszą świadomość swego obowiązku”. Módz działać jest to być obowiązanym do działania. Obowiązek ten wynika zarówno z istoty mojego życia, jak i życia innych. Inteligiencja nie różni się zasadniczo od woli i właściwie myślenie jest zapoczątkowaniem czynu. Sprawdzaniem myśli jest czyn, jaki z niej wyniknął.

Nawiasem — zwróćmy uwagę, że Guyau daje tu podstawę aż dwum kierunkom etyczno-socjalnym, które po nim wyrosną. Teorja nadmiaru, który musimy wytwarzać dla innych, pogląd na życie, jako na wymianę usług — zostanie przejęty przez solidarystów, którzy nim uzupełnią teorję życia, jako zderzenia sprzecznych egoizmów. Filozofja, wzmagająca od myśli przejścia w czyn i sądząca myśl „po owocach jej”, będzie pragmatyzmem.

Tak więc kategoryczny imperatyw Guyau będzie brzmiał: czyń to, do czego czujesz się zdolnym i czyń tak, jak myślisz. W ten sposób najłatwiej wytworzysz ten nadmiar, który będziesz musiał oddać innym, staniesz się przeto najpożyteczniejszy dla innych, a sam nabędziesz poczucia największej intensywności życiowej.

Ale bogactwo życiowe pcha nas niekiedy do przedsięwzięć szalonych, niebezpiecznych. Rozkosz niebezpieczeństwa i ryzyka jest pobudką czynów niezwykłych. To co wydaje się bohaterstwem, bezwzględnym poświęceniem dla idei, dla nauki, dla społeczeństwa i co istotnie przynosi olbrzymią korzyść ludzkości, jest w gruncie rzeczy najwyższą apoteozą własnego „ja”, stwierdzeniem swojej potęgi, rozkoszą niebezpieczeństwa.

Jeżeli zwykłe pojęcie obowiązku zastąpić powinniśmy poczuciem naszych zdolności, które domagają się pola działania, to zamiast pojęcia bohaterstwa, tego niezwykłego obowiązku, wprowadzamy poczucie rozkoszy ryzyka i niebezpieczeństwa.

I podobnie, jak życie tworzy sobie obowiązek działania z samej możności działania, tak samo tworzy ono sobie sankcję, „ponieważ działając napawa się sobą; działając mniej, napawa się mniej; działając więcej, napawa się więcej”.

Ta mniejsza lub większa świadomość swej pełni życiowej — oto jedyna kara i nagroda moralna

Takie są zasadnicze cechy teorji etycznej wielkiego francuskiego filozofa, którą obecnie otrzymało ku rozmyślaniu, ku pokrzepieniu i ku pobudzeniu do czynu — społeczeństwo polskie.

Jerzy Kurnatowski.

LITERATURA i SZTUKA.

Marja Konopnicka

1846 — 1910.

...Czy pójdę drogą, czyli się zostanę,
Siew rzucam na mą grzędę...
Runiejcie kwiatem, wy ścieżki zawiane,
Ku wiośnie, której ja już oglądać nie będę!

Czy pójdę drogą, czyli się zostanę,
Siew rzucam na mą grzędę...
Runijcie kłosem, wy pola orane,
Na chleb, którego ja już pożywać nie będę!

Głosy Ciszy.

Spełniły się marzenia lęku i grozy. Co było przeczuciem żałoby, stało się prawdą bezlitosną. Nadejdzie wiosna, zakwitną łany wiosenne, lecz Ona już ich oglądać nie będzie; w dzień złotego żniwa nie wyjdzie na pola cieszyć się bujną kośbą dostałego plonu:

„Już mam dosyć, już mam dość tej gościny, smętny gość — daj już polnym ziołom lichym na mogile mojej rość"... Odeszła od nas. Jakby łańcuchem siostrzanego serca pociągnięta, odeszła w ślad za Orzeszkową, nie bacząc, jak śmiertelną pustkę w duszy narodu to ich odejście uczyni. Dwie świetlane krynice, dwa zdroje natchnień najczystszych tak nagle w piersi narodu bić przestały!

Czujemy wszyscy bolesny żal utraty, atoli nie możemy pojąć jeszcze utraty tej — ogromu. Kilka zaledwie dni minęło od zgonu Jej, minął zaledwie pierwszy tydzień, a już Śmierć pod Jej stopy rzuciła jakoby olbrzymi jakiś głaz oceanowy, wyniosła Ją ponad życie i rozbłękitniła postać Jej w legiendzie stuleci. Zaledwie dzwon pogrzebowy umilkł nad Jej grobem, — a czyż nie spoglądamy już ku niej po przez jakąś straszną dal majestatu — i czci? Zda się, jakoby dopiero od kirów śmierci padł cień prawdziwej wielkości Jej na zagony życia.

I gdyby nie echo własnych naszych bólów, z taką potęgą w jej pieśniach zaklęte, gdyby nie męki wspólne, gdyby nie wspólne łzy, — czyżbyśmy wierzyli, doprawdy, że Ona tak niedawno jeszcze „żyła z nami, cierpiała i płakała z nami?"

Dziś, wymawiając Jej imię, doznajemy w duszy dziwnych rozdwojeń i dziwnego niepokoju wzruszeń; imieniem Jej wyrażamy jednocześnie głąb własnych najistotniejszych przeżyć, lecz zarazem sięgamy po nad siebie, w dziedzinę niedostępną i wieczną, gdzie byt osobniczy ginie i rozpościera się królestwo boże — ludzkości:

Kto na wieczne wszedł rozłogi,
Kogo światłość zórz przenika,
Ten nie będzie pytał drogi
U ziemskiego przewodnika.

I nie będzie pytał drogi
U Aniołów, Serafinów,
Ale wejdzie w Ojca progi
Jako jeden z bożych synów.

Powtórzmy imię Jej najskrytszą mową duszy: rodzi się zeń melodja orla i śpiewna, jak tętno krwi, grającej pod zbroją rycerza:

...Błogosławione te orły, te boże,
U których skrzydeł duch wisi narodu,
Iżby go niosły pod słońce i zorze
W godzinę wschodu...
Błogosławiony pęd ich i ich loty
W świt jutra złoty!

A przecież tak niedawno jeszcze rozbrzmiewał w uszach naszych żywy głos Jej pieśni!

Tak niedawno tony skrzydlate Jej natchnień rwały się z nad obszarów niedoli, jak stado strwożonych gołębi nad pożarem stepów, bijąc skrzydłami skarg o krwawe łuny nieba!

W ciemną złowieszczą noc leciały pieśni Jej ducha, zapalając błyskawicami męztwa serca walczących i składając pocałunki Sławy na czoła tych, którzy polegli:

Ty, coś walczył dla idei,
Chwała ci!
Boś wykrzesał z twej nadziei
Nawskroś burzy i zawiei —
Jasne dni...
Ciebie niosły w wielkie boje
Archanielskie skrzydła twoje,
I odzianyś jest przed światem
Blaskiem ducha i szkarłatem
Własnej krwi!

Ty, coś poległ dla idei
Chwała ci!
Boś padł w progu twej nadziei,
Nie czekając swej kolei
Jasnych dni...
U twych prochów, u mogiły
Będą wieki szukać siły,
I naznaczą twoje kości
Wielką drogą ku przyszłości,
Śladem krwi!

A ku przyszłości wiodła ją nie błoga otucha dziecięco ślepej wiary, ani rozkoszna złuda, ani beztroskliwa ufność: wiódł ją przymus rozpaczy pełnej żalu i zgrozy, wiodła ją płomienna burza miłości, owo uczucie, co jak żar tajone latami całymi w morzu łez i krwi, — wybucha nagle piorunem pieśni z rozdartego serca i, oszalałe bólem, walczy i śród walki zwycięża lub kona...

Od wczesnych lat dzieciństwa Konopnicka zespoliła się głębią ducha swego z duchem narodu. Utraciwszy matkę w pierwszych latach życia, poznała wcześnie dolę sieroctwa i, zrozumiawszy związaną z nim krzywdę, umiała później odczuć głęboko i tragicznie zbiorowe sieroctwo swej ziemi rodzonej.

Własne cierpienia i troski wszczepiły w nią patryjotyzm niedoli; własny niedostatek i praca wtajemniczyły Ją w duszę maluczkich i w bohaterskie serca prostego ludu. Nad wszystko w świecie umiłowała prostotę w myślach, szczerość w uczuciu i odwagę w czynie.

Życie stało się od początku najwyższym mistrzem Jej poezji.

Skroś serce Jej rwącym nurtem przepływał strumień najbezpośredniejszych uczuć, trosk i uniesień całego narodu.

Los wyznaczył Jej w udziale nie więcej szczęścia, niżli go miała ojczyzna i nie mniej zarazem, zaiste, niemniej cierpień. Krótkie złote dni dzieciństwa, jako jedna chwila pogody i bezpamięci, potym posępna młodość w łunach 63-go roku, gorycze zawodu i rozbicia w życiu rodzinnym, opuszczenie, twardy zakon samotności i trudu, wysiłek nieustanny ducha, stopiony w gorączce nocy bezsennych z wizją lat pożartych przez niemoc i przez słabość, wysiłek coraz potężniejszy, coraz doskonalszy, uwieńczony wreszcie koroną powodzeń i rozkoszą chwały śród narodu, a potym znów lata włóczęgi tułaczej po krajach obcych i obojętnych, zarazem lata tęsknoty, która już skończyć się za życia nie miała...

Koleje żywota Jej były niejako szlachetnym wzorem istnienia pokoleń polskich w ostatnich stu latach naszej historji: tułactwo, przeplatane krótkimi blaskami ułudy, poniewierka skarbów bezcennych duszy, znój wysileń, powszednia, długa, śmiertelnie nużąca praca bez nadziei zwycięztwa, zmora pytań, dręczących duszę pożogą strasznych przepowiedni i w końcu, jako odpowiedź jedyna — gruda ziemi mogilnej, uderzająca o wieko trumny, gdzieś na rubieży wiecznego milczenia: — oto zwięzła, niezmienna ko-

lej życia tych, co „cierpią wiele, bowiem ukochali wiele", spalając się ofiarnie na ołtarzu przyszłości.

Nie będziemy wyliczali tytułów i zbiorów literackich w spuściźnie duchowej wielkiej poetki. Rzeczą zbyteczną byłoby odtwarzać i streszczać strofy, które zdawna z ksiąg już przeszły w dusze i pozyskały byt wiekopomny w pamięci ogółu, strofy, rozfalowane w rytmy muzyczne, harmonijne jak śpiew, a trwałe i mocne jak spiż.

Otoczyły mnie wokół moje równie senne
Pasmem jednakim:
Ale ja lecę w krainy odmienne,
Umiem być ptakiem!

Oto jest tajemnica Jej poetyckiego gienjuszu: umiała być ptakiem!

Była ptakiem natury i stała się ptakiem ludzkości. Ukochała grę rozpętanych żywiołów i ciszę zmierzchów liljowych; kąpała pióra srebrne w ryku wód, wstrząsanych nawałnicą i w słodkiej zadumie pól błyszczących rosą pod księżycem.

Od pierwszej wiązanki rymów młodocianych („Z gór", „Po rosie", „Na fujarce", „Z daleka") aż po zwarte siłą epicką oktawy „Pana Balcera" ciągnie się skala niesłychanie szeroka tonów i strun, od gromu aż do westchnienia, od szeptu ekstazy aż do wybuchów przekleństwa. Jednako pełny i głęboki odzew daje pieśniana harfa jej duszy ciosem huraganów i — płaczowi maleńkiej dzieciny, „która na matki odejście się żali".

Idąc śladami natury, wiedziona instynktem powagi i pracy, Poetka z sercem bijącym wstępowała w progi chaty wieśniaczej, pod nizkie stare strzechy, niosąc wrażliwość artystki i sumienie obywatelki.

I powoli rozwierał się przed nią świat nowy, świat nieznany a blizki, świat przyszłej wiary społecznej i przyszłego narodowego tryumfu. Lud polski z rąk poezji otrzymał pierwsze prawa obywatelstwa i godności człowieczej. Mickiewicz i Słowacki przed stu laty wyciągali już ramiona bratnie do ludu, atoli ani sami z ludem się jeszcze nie zetknęli. Demokratyzm ówczesny był raczej żądzą ekspiacji dziejowej za winy polityczne przeszłości, niźli odczuciem bezpośredniej, społecznej solidarności z młodszą bracią w narodzie.

Konopnicka natomiast chłopa naszego wciela już jako żywioł podstawowy do organizmu ojczyzny; co więcej, wraz z innymi buduje na nim przyszłe odrodzenie Polski.

Wskazaliśmy dwie zasadnicze strony, dwa świetlane oblicza twórczości zmarłej Poetki: głębią szczerego uczucia, rozmachem porywającej wyobraźni, zwarciem potęgi epickiej, wysuwa się Konopnicka na czoło najwybitniejszych twórców polskich wtórej połowy XIX wieku i niezaprzeczenie dzierży berło królewskie śród duchów kobiecych w poezji globowej świata; jednocześnie zaś, przez swe umiłowanie ludu, przez swą żarliwą pracę w usłudze najszczytniejszych idej, przez nieustanny wysiłek ofiar, składanych w imię braterstwa i wolności, —stanęła w pierszym szeregu bojowników ducha, witając słowem natchnionym zapowiedź „Jutrzni na błękitach".

Kiedyś, po upływie lat, a może po upływie wieków, przyszły badacz dziejów teraźniejszych, rozważając epokę naszą, ogarnąwszy rozpacz bezprzytułku naszego, poznawszy wątłość sił i rozbicie zamiarów, oceniwszy grozę niebezpieczeństw i burz, które uderzają w naszą pierś nieosłonioną, przerzuciwszy próchno zwątpień naszych i popioły uniesień, ze zdumieniem szukać będzie źródeł wytrwania, śledzić będzie zadatków mocy społecznej, sił i żywiołów ratunku, które nam przetrwać w tej strasznej próbie dziejowej pozwoliły, — przetrwać i nie upaść, — i napróżno o nie pytać będzie, nie rozumiejąc, skąd pokolenia nasze czerpały potęgę hartu, skąd brały zasiłek na krzyżową drogę?

Ale wtenczas, być może, niebaczne oko jego padnie na dzieła Orzeszkowej, na utwory Konopnickiej... I wówczas, na szali wieków złożywszy ziarno Jej spuścizny twórczej, ogarnie on, być może, całą głębię jej myśli, przeniknie ławę Jej uczuć, i — pod kwieciem słów — dotknąwszy dłonią granitu ducha— zrozumie! Zrozumie, i wieszczym dalekim słowom — po wiekach — przywtórzy w modlitewnym szepcie dziękczynienia:

Błogosławione te orły, te hoże,
U których skrzydeł duch wisi narodu,
Iżby go niosły pod słońce i zorze
W godzinę wschodu...

W. Rzymowski.

TEATR MAŁY: **Niziny**, sztuka w 4-ch aktach B. Winawera. d. 8 b. m.

Po niefortunnej próbie „Meleagra", którego powtarzano niewiadomo czemu parokrotnie, ujrzeliśmy na tejże scenie interesującą nowość młodego autora p. Winawera, którego pierwszy występ na polu dramatycznym wypadł ze wszech miar szczęśliwie. Z zestawienia dwuch biegunowo przeciwnych sobie światów: świata pracy, szczerości i powagi ze światem próżnej głupkowatej blagi o giestach zamaszystych i wytartym czole, autor dobyć potrafił kontrast wyborny i silny, piekący ogniem nieodpartej świszczącej satyry. W budowie sztuki i ujęciu sytuacji przebija umysł jasny, logiczny, skłonny do rzutów nagłej syntezy i zataczania ram szerokich uogólnień. Charakter postaci szkicowany węglem od ręki, lecz śmiało i dobitnie. W założeniu wszystkie postacie rysują się wypukle, mają w sobie siłę plastyki i siłę prawdy. Atoli w rozwoju akcji poruszają się nieco opornie i sztywno. Znać poza nimi sprężyny pomysłowości autorskiej. I tu tkwi błąd poważny jaki możnaby na podstawie pierwszego tego utworu wytknąć autorowi, gdybyśmy mieli prawo żądać odeń doskonałości

P. Winawer pominął całkiem w rozwoju swego dramatu czynnik „czasu psychologicznego". Doświadczenie, które autor każe przeżywać osobom dramatu, nie tworzą na dnie ich uczuć i myśli owego życiowego osadu, jaki z każdym dniem przeżytym w nas narasta. Bohaterowie „Nizin", a raczej w ostatnim akcie należałoby powiedzieć bohaterowie „Wyżyn" w końcowym momencie sztuki posiadają też same oblicza psychologiczne i moralne, co i na początku sztuki. Stąd, wbrew artystycznym zamiarom twórcy, rodzi się w sposób przykry nieuniknione podejrzenie, że bohaterowie jego mogliby, wychodząc z aktu czwartego, wrócić znów do pierwotnej sytuacji w akcie pierwszym; ewolucja w rozwoju wypadków nie znajduje bowiem zasadniczego oparcia w ewolucji wewnętrznej charakterów. *W. R.*

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Z powodu wzmianki, jaka ukazała się w *Nowej Gazecie* z dn. 12 b. m. o podpisie wydawcy naszego pisma, p. Józefa Jabłońskiego, pod adresem do biskupa Zdzitowieckiego, ogłasza on wyjaśnienie następujące:

„Do udziału w podpisie rzeczonego adresu wezwany zostałem jako prezes Tow. Roln. Łomżyńskiego. Idąc za głosem wewnętrznego przekonania, dałem wyraz niechęci do podpisania tego aktu. Przeciwstawiono mi argument, że w tym wypadku nie mogę być rzecznikiem własnych przekonań, lecz większości członków instytucji przezemnie reprezentowanej. Wobec tego położyłem swój podpis, jako prezes Tow. Roln. Łomżyńskiego. Akces ten jednak w imieniu rzeczonej instytucji nie zmienia ani moich osobistych poglądów, ani stosunku mojego do stronnictwa, którego jestem członkiem i pisma, którego jestem wydawcą. Zarówno jedno jak i drugie nie powinno być i nie będzie w najmniejszej mierze skrępowane tym moim udziałem w akcie przymusowego lojalizmu.

Pozostaję z szacunkiem

Józef Jabłoński."

Warszawa, d. 11 października.

* Przewrót w Portugalji nie podoba się *Gazecie Warszawskiej*. Organ stronnictwa, „reprezentującego" naród uciśniony, wzrusza ramionami z politowaniem nad wysiłkiem innego nieszczęśliwego narodu, któremu oto powiodło się stanąć w rzędzie żywych społeczeństw...

Nigdy jeszcze obrzydliwy, starczy *cynizm* nie bryznął tak obficie i tak otwarcie ze szpalt *Gazety Warszawskiej*, jak w następujących trzech zdaniach:

Na czele stronnictwa republikańskiego stoją literaci, profesorowie i t. p., wyznawcy radykalnych poglądów społecznych, zwolennicy oddzielenia Kościoła od państwa, typowi przedstawiciele „wolnej myśli". Z odezw ich i zachowania uderza to wrażenie, że się ma do czynienia z zapóźnionymi przedstawicielami ruchów rewolucyjnych roku 1848. Są oni pełni wiary w odradzający wpływ „ustroju republikańskiego", „wolności", „równości" i t. p.

Jedna jeszcze uwaga: skoro nieprzejednańcy z obozu *Młota* traktują „wolność" „równość" „demokratyzm" jako „spóźnione" hasła 1848 roku — jest to pogląd szkodliwy, ale zrozumiały. Jeśli jednak to samo czyni organ „demokracji narodowej" polskiej wówczas mamy prawo zapytać: co to jest? jacy tam ludzie kryją się pod szyldem demokratycznym?

* Zgon Marji Konopnickiej spowodował ze strony zarówno pism klerykalnych, jak i hierarchji kościelnej szereg wrogich wystąpień, obrażających pamięć poetki, wielbionej przez całą Polskę za piękno myśli i bezmierną słodycz serca. Z tego powodu *Kurjer Poranny* wystąpił z artykułem *Naród i — oni*, gdzie między innymi czytamy:

Ze strony klerykalnej, która jeżeli kiedy to dzisiaj miałaby chyba ważne powody nie wchodzić w jaskrawe konflikty z ogólnymi narodowymi nastrojami i uczuciami, poczęto już w niektórych wspomnieniach pośmiertnych rzucać pociski jadowite na twórczość poetki. Znalazło się pismo, które wystąpiło z idjotycznym twierdzeniem, że Konopnicka „nie chciała czy nie umiała ogarnąć nadprzyrodzoności". „Duch jej pełzał — czytamy w tej potwornej charakterystyce — po nizinach szarzyzny ziemskiej, nie mogąc się zdobyć na uznanie celowości cierpienia i przemijającego zła w doczesnym bycie... Rozmijała się prawie zawsze z nauką chrześcijańską wogole a katolicką w szczególności. Autorkę „Hypatji" nie bez słuszności nazywano niekiedy wieszczką poganizmu.

A oto konkluzje artykułu:

Przeciwstawienie się episkopatu lwowskiego harmonijnemu hołdowi narodowego uczucia, jest dalszym ciągiem stanowiska, zajętego przez kardynała Puzynę wobec żądań narodu, aby popioły Słowackiego spoczęły na Wawelu, a w chwili teraźniejszej podwójnie jest przykre i rażące. Nie trzeba chyba wyraźniej tego podkreślać. Popularna w szerokich u nas sferach teorja, że „polskość i katolicyzm" nie dadzą się z sobą rozdzielić, przechodzi przez próby, które zapewne nie będą mogły przyczynić się do jej wzmocnienia i utrwalenia. I trzeba pamiętać, że grób tej teorji kopie nie „bezwyznaniowa agitacja", ale te czynniki właśnie, które ją najzażarciej popierały i propagowały.

* *Goniec* warszawski, w sprawie bojkotu pogrzebu Konopnickiej przez władze kościelne, zajął również stanowisko krytyczne, stwierdzając lakonicznie, że

nieobecność wyższego duchowieństwa w chwilach, gdy cały naród skupia się, ogarnięty jedną myślą bolesną, czy radosną, zaczyna być zjawiskiem stałym, z którego należałoby wyciągnąć właściwe konsekwencje.

KRONIKA.

ZGON. D 9 b. m. zmarł w Warszawie w wieku lat 51 znakomity malarz polski Franciszek Żmurko.

Syn rektora uniwersytetu lwowskiego, Wawrzyńca Żmurki, kształcił się zmarły najpierw u Tepy, potem od roku 1876 w szkole krakowskiej u Matejki, który go wysoko cenił. Bywał później na studjach w Wiedniu i Monachium u Wagnera, gdzie po półrocznym pobycie już otrzymuje medal złoty za studjum i szkice. Jeździł jeszcze młody Żmurko do Włoch i dwukrotnie, na dłużej, pod kierunek Matejki powracał. Tam w Krakowie powstał obraz „Kazimierz Wielki i Esterka" — po wyjściu z pracowni mistrza osiedlił się Żmurko w Warszawie — i tu powstały wszystkie jego dzieła, z których największe imiona zdobyły sobie „Z rozkazu padyszacha", „Jus primae noctis", „Gwiazda Betleemska", „Laudamus Feminam", „Hetera" i in.

KU UCZCZENIU MARJI KONOPNICKIEJ

Dyrekcja Warszawskiej Orkiestry symfonicznej, pragnąc uczcić pamięć zmarłej w ubiegłym tygodniu, Marji Konopnickiej, urządza w najbliższych dniach wielką uroczystość muzyczno-literacką. Wybitne talenty złożą się na oddanie hołdu najpopularniejszej z poetów polskich doby współczesnej. Do programu tej uroczystości wejdzie deklamacja poezji Konopnickiej, pieśni do jej słów, oraz część orkiestrowa, w której wykonane będą dzieła dostosowane do charakteru wieczoru.

Dochód z tej uroczystości będzie przeznaczony na nagrodę dla twórcy najlepszych pieśni, napisanych do poezji Marji Konopnickiej.

KOŁO MATEMATYCZNO-FIZYCZNE (Warszawa, Bracka 18) donosi nam, iż

że dzień 31 października b. r. jest ostatecznym terminem do nadsyłania prac na Konkurs ogłoszony przez Koło Matematyczno-Fizyczne p. t: „Pola figur płaskich prostokreślnych i objętości brył wielościennych w wykładzie szkolnym".

Książki nadesłane do Redakcji:

— Gabryela Zapolska „Kaśka Karyatyda", wyd. Gebethnera i Wolffa. Cena 1,50.

— C. Bogucka i C. Niewiadomska: „Nasi pisarze ich życia i dzieła", wyd. Gebethnera i Wolffa. Cena rb. 1.

— Bohowityn: „Czarnymi czcionkami", wyd. Gebethnera i Wolffa.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.